ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 6. DNIA 11 LUTEGO 1933 ROKU



TREŚĆ:

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WARSZAWA, DNIA 11-go LUTEGO 1933 ROKU

ROK XXVIII • NR. 6 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Zbroje naszych czasów

Mimo obradującej od roku konferencji rozbrojeniowej, świat zbroi się coraz lepiej i coraz groźniej. W żadnej dziedzinie nie widać tak wielkiego postępu, jak w sztuce doskonalenia narzędzi do zabijania ludzi.

Inż. Stanisław Płużański, profesor Politechniki Warszawskiej, wyczerpująco i z niezwykłą obrazowością przedstawia poniżej zastosowanie zdobyczy techniki współczesnej do celów wojennych i rolę przemysłu w przyszłej wojnie.

Postęp i ulepszenia w dziedzinie uzbrojeń już od zamierzchłych czasów miały wielki wpływ na taktykę wojenną; np. przedłużenie o kilka stóp ciężkiej dzidy piechoty uczyniły falangi Filipa Macedońskiego niezwyciężonemi, jego samego — panem Grecji, syna zaś jego Aleksandra — władcą całego prawie ówczesnego świata cywilizowanego. Ogień grecki przez paręset lat bronił chrześcijan przed napadami arabów i innych ludów Wschodu. W średnich wiekach pancerz rycerstwa konnego uniemożliwił ataki piechoty.

W nowszych czasach zmiany takie stają się częstszemi wskutek postępów techniki i wzmożenia wynalazczości na polu techniki wojennej. Tak np. zastosowanie bagnetu do karabinu przez Vaubana w 1670 r. dało możność piechocie skutecznej obrony przed atakami konnicy; obronę tę jeszcze więcej ułatwiło wynalezienie broni palnej ulepszonej (kapiszonówki), strzelającej nawet podczas niepogody, gdy broń o zamku skałkowym podczas niepogody odmawiała działania. Wynalezienie pocisku wybuchającego uniemożliwiło dalsze istnienie statków wojennych z drzewa, zapalających się od takich pocisków. Później, około połowy ub. stulecia, broń ładowana od tyłu i dająca 6 strzałów na minutę, w porównaniu do 7 — 8 strzałów, jakie dawał strzelec z muszkietu w XVI w. w ciągu całodziennego boju, wywołała całkowitą zmianę szyku wojskowego. Wreszcie ostatnio ulepszona broń automatyczna, wysyłająca istny deszcz pocisków (od 450 do 900 na minutę), zmusiła do powrotu do metod średniowiecza, mianowicie do zabezpieczania atakujących przez umieszczenie ich wewnątrz opancerzonego czołga, oraz do stosowania tarcz ochronnych, hełmów na głowę i t. p.

Mechanizacja i motoryzacja*) armji uczyniła — jak wiadomo — olbrzymie postępy w ostatnich latach światowej wojny. Impet nadany wtedy trwa dotąd i trudno przewidzieć, kiedy nastanie kres wynalazczości ludzkiej w dziedzinie środków obrony i ataku. Wynikiem tego postępu jest wielkie i ciągle wzrastające zastosowanie maszyn w spółczesnych armjach. Jako przykłady mechanizacji można przytoczyć: ogromny rozwój ilościowy i jakościowy artylerji z jej dalekonośnością, znacznie zwiększoną celnością i szybkością ognia; nadzwyczajne zwiększenie zastosowania broni automatycznej; olbrzy-

*) Przez *mechanizację* rozumiemy wprowadzenie maszyn i przyrządów do prowadzenia walki, *motoryzacja* zaś oznacza zastąpienie środków transportu w armji motorami.

mi rozwój lotnictwa i broni pancernej; powstanie zmotoryzowanych jednostek armji (kawalerji, artylerji i inn.) i w związku z tem zastosowanie wielkich ilości samochodów dla przewozu wojsk i materjałów wojennych; bardzo znaczny postęp w dziedzinie materjałów wybuchowych, gazów bojowych, elektrotechniki wojskowej i wielu innych.

Wskazane środki nowożytnej techniki wojennej mają wszelkie widoki dalszego nieustannego rozwoju, gdyż dają one wielkie i nader cenne przewagi zmechanizowanej armji, między inn. możność szybkiego przenoszenia wojsk i tp. z miejsca na miejsce, umożliwiając zaskoczenie nieprzyjaciela; znacznie zwiększają siłę ognia, t. np. kompanja złożona z 24 czołgów może wyrzucić 338 kg. pocisków w ciągu minuty, podczas gdy liczący tyluż ludzi szwadron kawalerji, wyposażony w 4 karabiny maszynowe — tylko 20 kg.; prócz tego czołgi dają możność osiągania znacznie większych wyników taktycznych przy mniejszych stratach w ludziach i sprzęcie, niż to było możliwe dawniej. Pod tym względem bardzo pouczającą jest statystyka angielska z czasów wielkiej wojny; tak np. straty angielskie nad Somme'ą wyniosły w dn. 1.I.1916 r. olbrzymią ilość około 60.000 ludzi, podczas gdy w dwa lata później, pod Amiens, dzięki użyciu 415 czołgów straty wyniosły tylko około 1000 ludzi. Dowództwo angielskie oblicza straty średnio na 1 km^2 zajętego podczas ataku terenu na 2070 ludzi w 1916 r., gdy czołgów nie znano, zaś tylko na 32 ludzi w 1918 roku, gdy były użyte czołgi. Zastosowanie czołgów pozwoliło również na znaczne zmniejszenie zużycia amunicji działowej dla przygotowania ataku. Np. w trzeciej bitwie pod Ypres anglicy zużyli zgórą 4 miljony pocisków, które kosztowały około 22 miljonów funt. szterl., natomiast atak pod Cambrai, wykonany mniej więcej w dwa lata później przy pomocy 378 czołgów, zużył tylko 300.000 pocisków. Koszt zużytych środków, t. j. tej ilości pocisków wraz z 48 trafionemi czołgami, wyniósł 1,7 miljonów f. szt. Osiągnięta oszczędność równa się 20,3 milj. f. szt., co stanowi równoważnik wynagrodzenia za pracę 67.700 ludzi w ciągu 300 dni po 8 godzin dziennie. Zaoszczędzono jednocześnie niemałe koszty transportu tej amunicji do Francji; o tem, że nie są to drobne wydatki, łatwo się przekonać, jeśli się uwzględni, że dla przewiezienia tej ilości pocisków, ważącej około 100.000 ton, potrzeba było 540 pociągów kolejowych w Anglji i we Francji, 25 statków po 4.000 ton, i wreszcie około 35.000 samochodów ciężarowych 3-ton. dla dostarczenia tej amunicji na pozycje bojowe.

Zrozumiałem jest, że nowoczesna mechanizacja armji wysuwa wiele zagadnień, wymagających dla najlepszego rozwiązania stałej współpracy nauki, techniki i przemysłu z organami wojskowemi. Poza tą, niejako jakościową stroną zagadnienia, istnieje jeszcze strona ilościowa, t. j. niezmiernie ważne zadanie zorganizowania należytego wykonania potrzebnych dla prowadzenia nowoczesnej wojny ilości sprzętu wojennego, t. j. tego wszystkiego, co dla wyposażenia i utrzymania, umundurowania i zaprowiantowania wielkiej armji jest potrzebne.

Oczywiste, że im bardziej wzrasta mechanizacja armji, tem ilość ośrodków wytwórczych, które będą potrzebne dla dostarczenia tych wszystkich przedmiotów niezbędnych dla armji, postawionej na stopę wojenną, będzie także większa. Wobec ostatnich postępów mechanizacji nowoczesnych armji, zapotrzebowanie na sprzęt wojenny, który w wielkiej części jest przedmiotem wytwórczości fabrycznej, będzie tak wielkie, że często powtarzany w związku z ew. przyszłą wojną zwrot o „pracy całej ludności kraju dla wojska" rzeczywiście przestaje być figurą retoryczną. W rzeczy samej nawet w bardzo uprzemysłowionych krajach trzeba będzie rozwinąć największe wysiłki, aby zadaniu temu podołać.

Istniejące arsenały i nieliczne wytwórnie prywatne, wyrabiające sprzęt wojenny bez współdziałania przemysłu prywatnego, nie będą w stanie sprostać zadaniu zaopatrzenia wojennego armji, gdyż utrzymanie w czasie pokoju organizacji, wystarczającej dla tego celu, przekracza możność nawet najbogatszych państw. Nawet w tak bogatym kraju, jak Stany Zjednoczone Am. Półn., liczne arsenały są w stanie pokryć zaledwie 5% zapotrzebowania na uzbrojenie w czasie wojny, — reszty musi dostarczvć odpowiednio zorganizowany przemysł prywatny.

Już podczas wojny światowej, wskutek przedłużania się działań wojennych, wszystkie prawie państwa wojujące zmuszone były uciec się do pomocy przemysłu prywatnego, dzięki któremu dopiero, — wprawdzie ze znacznem opóźnieniem, — mogły się zaopatrzyć w potrzebny sprzęt wojenny w niespotykanych dotąd wielkich ilościach. Przewaga potężnego przemysłu państw sprzymierzonych przechyliła zwycięstwo na ich stronę. Oczywiście zwycięstwo to byłoby osiągnięte znacznie szybciej i ze znacznie mniejszemi stratami, gdyby organizacja zaopatrzenia armji przy współudziale przemysłu prywatnego była przewidziana zawczasu, gdyż wtedy uniknęłoby się straty czasu przy przejściu od normalnej wytwórczości pokojowej do pracy na potrzeby wojska, oraz na pokonanie trudności przy wyrobie produktu dotąd fabrykom prywatnym zupełnie nieznanego.

Inż. Stanisław Płużański,
(D. n.) profesor Politechniki.



450 DO 900 STRZAŁÓW NA MINUTĘ

NARÓD—SWEJ WIELKIEJ PRZESZŁOŚCI

CZYNNIK OBYWATELSKI W ODBUDOWIE WAWELU

Czy w trwającym od dłuższego już czasu okresie nazbyt zaiste ciężkich warunków materjalnych i nad wszelki wyraz bezwzględnej walki o byt, o chleb codzienny, wolno mówić i pisać o obowiązkach natury kulturalnej? Sądzę, że tak, ponieważ musimy wytężyć wszystkie siły, aby nie dopuścić do cofnięcia się wstecz, do zatraty dóbr duchowych, do zdziczenia.

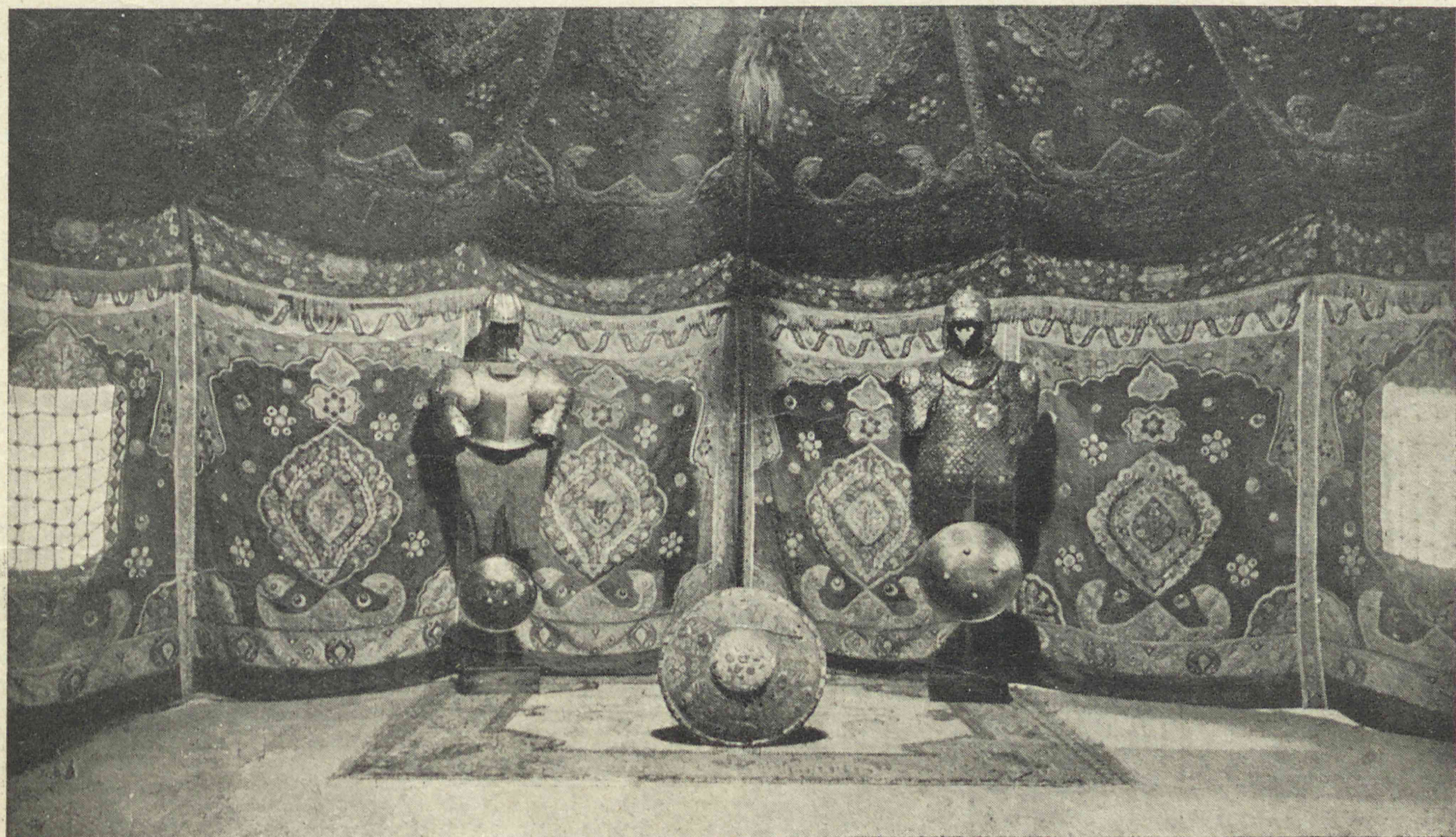
Nie wystarczy chlubić się otrzymaną po minionych wiekach spuścizną, nie wystarczy żyć z nagromadzonego przez przodków kapitału; należy wbrew wszelkim trudnościom dorzucić własny dorobek do odziedziczonego majątku, aby w naszym rozwoju kulturalnym nie powstała wielka, nie dająca się już nigdy zapełnić luka, za którą przyszłe pokolenia będą musiały się rumienić.

Jedną z prac, dokonywanych przez współczesne pokolenie, jest całkowita restauracja, a właściwie regeneracja Wawelu; trzeba jednak przypomnieć, a może objawić szerszemu ogółowi, że wielkie to dzieło doprowadzenia Wawelu do stanu świetności jest zaledwie w okresie początkowym, że jakkolwiek uczyniono już wiele, o wiele więcej pozostaje do zrobienia. Któż ma tego dokonać?

Od Rządu nie można wymagać wszystkiego, nawet gdyby nasze położenie finansowe było lepsze; przecież Rząd restauruje już architekturę, co olbrzymie pociąga za sobą wydatki. Ale niedość jest odbudować mury, pułapy, galerje i schody. Trzeba sale i komnaty wawelskie wypełnić meblami. Pamiętajmy, że Wawel posiada setkę sal i pokojów, że z tych już czterdzieści zostało odrestaurowanych, ale zaledwie dwadzieścia ośm umeblowanych; reszta czeka na



PORTRET KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA PRZEZ M. BACCIARELLEGO, NABYTY Z FUNDUSZÓW FUNDACJI IM. ABRAHAMOWICZÓW DLA ZAMKU WAWELSKIEGO



NAMIOT TURECKI, ZDOBYTY PRZEZ JANA III POD WIEDNIEM. DAR ARTURA HR. POTOCKIEGO Z KRZESZOWIC

sprzęty potrzebne do ich wypełnienia.

W kraju świeżo powstającym, jak Ameryka, muzea otrzymują olbrzymie fundusze prywatne, sumy miljonowe, przeznaczone na kupno dzieł sztuki. Ale u nas ta idea nie przeniknęła jeszcze do umysłów ludzi zamożnych i zdolnych do ponoszenia ofiar; zaledwie kilka nazwisk świadczy chlubnie o wysokiem poczuciu obywatelskiem, które na szczęście w Narodzie Polskim jeszcze nie zamarło i co jakiś czas daje o sobie znać w sposób napawający najwyższą na przyszłość otuchą.

Jedni z tych przodujących obywateli kraju złożyli ofiary w meblach, czy dziełach sztuki, inni przeznaczyli pewne fundusze, z których można czerpać na zakup potrzebnych obrazów i sprzętów; i jedni i drudzy zasługują na to, aby nazwiska ich stały się znanemi w Polsce. Jest ich jeszcze tak niewielu!

Przodują tutaj Leon Piniński, Jerzy Mycielski, Dawid Abrahamowicz, którzy ofiarowali głównie obrazy; inni złożyli dary w meblach i sprzętach, ale akcja ta nie przybrała jeszcze takich rozmiarów, jakich wymaga polski Akropolis.

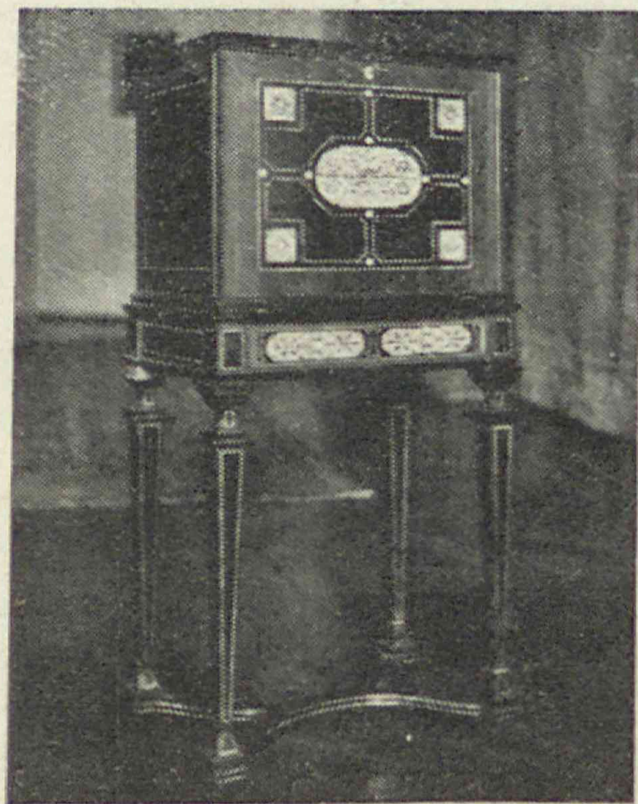
To też odnawiane sale zostały z konieczności zapełnione meblami z XIX wieku, co charakterowi Wawelu zgoła nie odpowiada; gdy przedmioty te już zbytnio raziły oko, usunięto je i zaczęto wstawiać zabytki z wieku XVI i XVII. Piękne one tam wyglądają, ale niestety nie są jeszcze zapłacone; oto długi Wawelu z tego tytułu wynoszą około 200.000 złotych. Tutaj więc nadarza się sposobność dla ludzi dobrej woli bądź dostarczenia gotówki, bądź nabycia pojedyńczych przedmiotów i przekazania Wawelowi po zaopatrzeniu ich w dyskretnie umieszczone tabliczki, przekazujące potomnym nazwiska szlachetnych ofiarodawców.



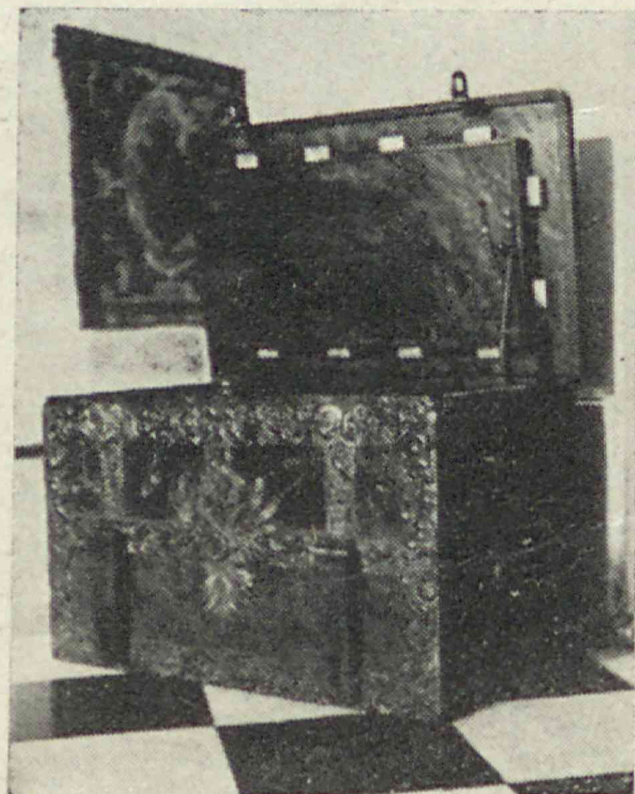
„ŚWIĘTA RODZINA" PĘDZLA J. SANDERS VON HEMESSEN Z FUNDACJI IM. LEONA PINIŃSKIEGO

W tem miejscu nasuwa się uwaga, że o ile w Polsce zachowało się niewiele mebli z wieku XVI i XVII, i tych należy raczej szukać za granicą, o tyle jest jeszcze sporo obrazów, dywanów, makat, gobelinów, broni i zboi, które winny być na Wawel oddane. Piękny przykład daje wojsko polskie: oto 40 pułków kawaleryjskich odnawia własnym kosztem dwie sale w prawem skrzydle Wawelu, w których ma powstać „Sanktuarjum Jazdy Polskiej", zawierające zabytki naszej chwały wojennej, jako to trofea z pod Wiednia, Kirchholmu i Chocimia; rzędy, zbroje, chorągwie i t. d. Mogłyby im przyjść z pomocą stare rody polskie, w których posiadaniu przedmioty takie często się znajdują. Zresztą przedstawiciele niektórych rodzin arystokratycznych nie czekali na zachętę. Leon Piniński zaczął od wczesnej młodości gromadzić galerję obrazów, szeroko zakrojoną, nie ograniczając się do pewnych szkół czy epok. Najbogaciej jednak reprezentowana tam jest sztuka holenderska, zwłaszcza złoty wiek tego malarstwa, następnie włoska z pięknemi przykładami włoskiego *quatrocenta;* nie brak szkoły flamandzkiej, niemieckiej, hiszpańskiej, francuskiej i polskiej. Z tych obrazów utworzył ofiarodawca osobną fundację dla Wawelu.

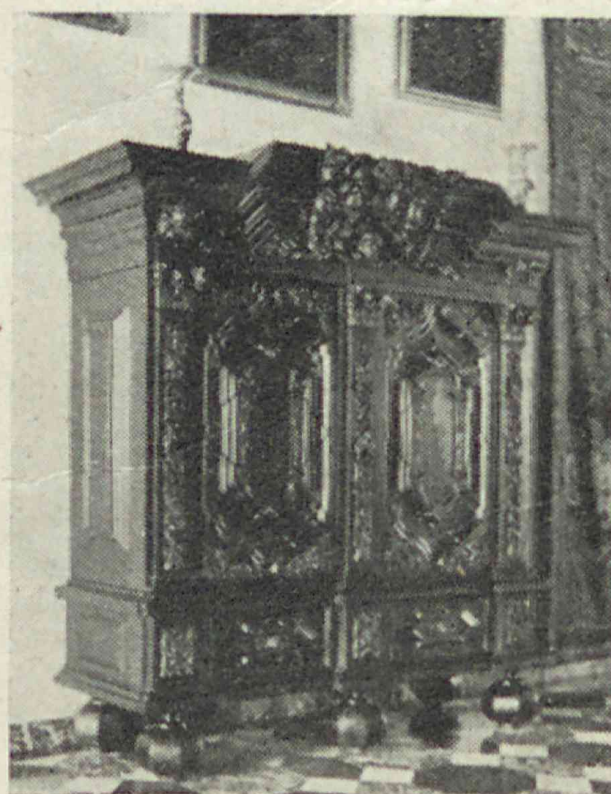
Zapis prof. Jerzego Mycielskiego, poza kilkunastu pierwszorzędnemi dziełami starych mistrzów europejskich, obejmuje głównie dzieła polskie mało znanych malarzy, jak Lubienieckiego z XVII wieku, Czechowicza i t. d., które ten autor pierwszej historji malarstwa polskiego w ostatnich dwu stuleciach wyłowił w ciągu długiego życia na



SEKTETARZYK, OFIAROWANY PRZEZ DR. Z. WĄSOWICZA



SKRZYNIA ŻELAZNA Z 1676 R. DAR A. HABERA Z KRAKOWA
Fot. amat. Jarosław Bronikowski, Kraków



SZAFA GDAŃSKA Z XVII W. ZAPIS STANISŁ. NATANSONA Z WARSZAWY



SEKRETARZYK INKRUSTOWANY Z 1678 R. Z FUNDUSZÓW ZAKŁADÓW PRZEM. „SOLVAY W POLSCE"

rynkach artystycznych całej Europy.

Wreszcie Dawid Abrahamowicz i jego małżonka cały swój zbiór obrazów i mebli przekazali Wawelowi. Są wśród nich pierwszorzędne dzieła Michałowskiego, Juljusza Kossaka, Malczewskiego. Co więcej, przeznaczyli oni osobny fundusz, zostający pod zarządem Polskiej Akademji Umiejętności, z którego odsetki mają iść corocznie na zakup pierwszorzędnych dzieł malarskich dla Wawelu.

Są to iście królewskie fundacje dla królewskiego Wawelu!

Ale pozatem znajdujemy liczniejszy poczet nazwisk szlachetnych ofiarodawców: Szymon Szwarc, dr. Wojciech Rec, dr. Zygmunt Wąsowicz, Stanisław Natanson, Zakłady przemysłowe „Solvay w Polsce", A. Haber, Franciszek Potocki, Artur Potocki.



ŁOŻE Z POCZĄTKU XVIII W., POCHODZĄCE Z PAŁACU W TULCZYNIE DAR FRANC. HR. POTOCKICH

W ostatnich czasach Wawel otrzymał dwa wzruszające dary:

Niedawno zmarła Nikodema z Zabielskich Kieszkowska, właścicielka majątku Łuka Mała koło Skałatu, zapisała szereg pamiątek rodzinnych; drugą ofiarodawczynią jest obywatelka amerykańska, pochodzenia polskiego Eleonora Sheldon Phillips z Paryża, posiadająca cenne zbiory sztuki gotyckiej i renesansowej; nadesłała już ona na Wawel sporo przedmiotów, nadających się dla Wawelu, przyrzekła zaś w przyszłości przekazać zbiorom wawelskim jeszcze więcej.

Oto godne przykłady do naśladowania.

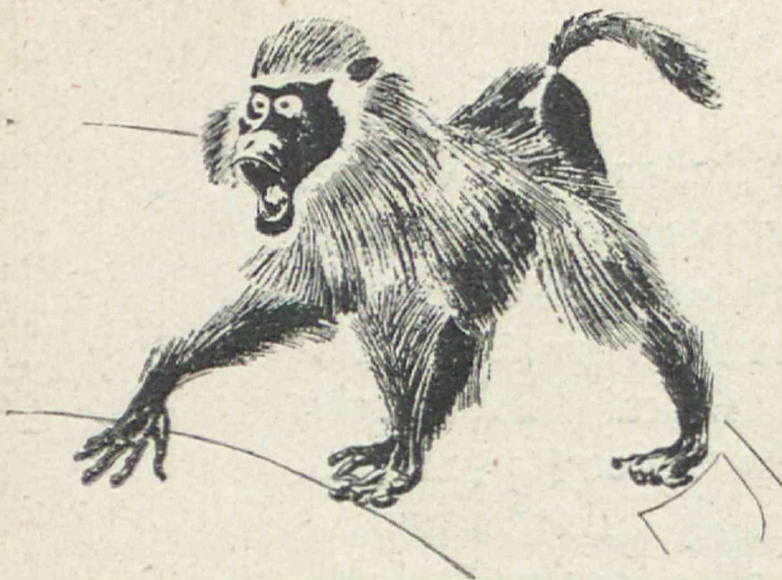
Wojciech Szukiewicz

P. S. Na tem miejscu pragnąłbym złożyć podziękowanie za udzielenie informacji i pozwolenie dokonania specjalnych zdjęć dla „Świata", kustoszowi zbiorów wawelskich, dr. Stanisławowi Świerz-Zaleskiemu.

W. S.

BYŁY KRÓL WOBEC PRZYSZŁEGO KRÓLA

EX-KRÓL HISZPAŃSKI ALFONS XIII WITA SIĘ Z WŁOSKIM NASTĘPCĄ TRONU KS. HUMBERTEM PO WYLĄDOWANIU W NEAPOLU. ZDETRONIZOWANY MONARCHA ZAMIERZA NA STAŁE OSIĄŚĆ WE WŁOSZECH I W TYM CELU NABYŁ WILLĘ WE FLORENCJI



Tam wśród dzikusów

Część druga wspomnień podróżniczo-myśliwskich z Afryki Środkowej p. t. „Od oceanu do oceanu"

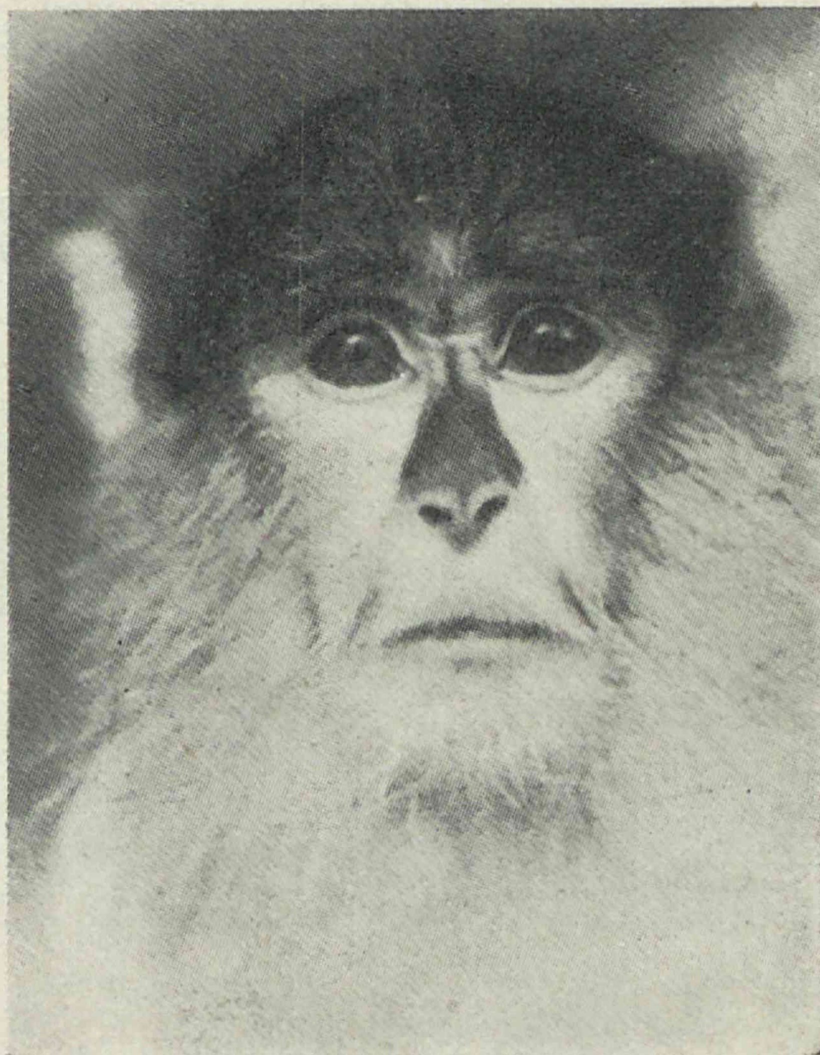
5)

Mumo, niezwykle przejęty moją nową konkietą, służył mi za tłomacza. Wcale nie miałem zamiaru przetrzymywać u siebie na stałe uroczej Mahijani, wiedząc, że tego rodzaju sytuacje kończą się zazwyczaj tragicznie, szczególnie, że czarnej piękności podobał się bardzo mój kampingowy home, pomimo całego jego prymitywizmu.

W chwili opuszczenia przezemnie tej miłej okolicy, gdzie tyle odniosłem silnych i niezapomnianych wrażeń myśliwskich, Mumo całkiem niedwuznacznie dawał do poznania, że Mahijani niezwykle mu się podoba, przewracał dziko białkami i szczerzył zęby do niej w cielęcym zachwycie. Wpadłem więc na pomysł, aby ich wyswatać. Co mi szkodziło uszczęśliwić tak doskonałego tropiciela,któremu zawdzięczałem piękne trofea myśliwskie?! Zapytany, jak się na tę sprawę zapatruje, wielce się uradował i wyraził gotowość przyjęcia Mahijani na żonę. Zawołałem ją i kazałem przez usta Mumo powiedzieć, że nie mam miejsca dla Mahijani w aucie, że wracam już do „Bulaja", t. j. Europy, gdzie wielkie panują zimna, gdzie biały „madame" chodzą od stóp do głów ciepło ubrane w grube futra, gdzie niema możności chodzić goło i że czarna skóra odrazu na zimnie popęka i pozłazi, następstwem czego jest straszna śmierć. Radzę jej więc pozostać w Afryce, oraz wstąpić w związki małżeńskie z Mumo, dzielnym tropicielem i pięknym, kudłatym mężczyzną. Za całą odpowiedź wydęła pogardliwie wargi i strzyknąwszy śliną między zębami na daleką metę, zapaliła papierosa, pogrążając się w zadumie.

Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się w pełnym przygód życia biegu kojarzyć małżeństw, — znając jednak dobrze psychologję negrów, wiedziałem, że to, czego nie można dopiąć uczuciem, da się stokroć lepiej i łatwiej zrobić podarunkami i pieniędzmi. Szło mi głównie o pozyskanie zgody króla. Oświadczyłem więc jego córce, że dostanie piękny prezent ślubny, Mumo ubranie, a ojciec jej dary, o jakich nigdy nie marzył, o ile wszystko da się załatwić według mej woli i planów.

Niezwłocznie więc posłałem po kapitę *), a gdy się zjawił, oznajmiłem mu moje postanowienie; kapita dał mi do zrozumienia, że król bardzo ceni wszelkie podarunki, ale świecidełka i paciorki go już nie bawią, pozatem jest bardzo przywiązany do swej matki, mając dla swych żon zdecydowaną pogardę, zresztą pełną majestatu. Obiecałem więc solennie podarunki dla całej rodziny i posłałem kapitę po odpowiedź na dwór z zapowiedzią, że oczekuję wizyty starego monarchy, aby mógł obejrzeć dary i od ręki wyswatać młodą parę.



Nad wieczorem przeraźliwy odgłos „tam-tamów" i wiercących w uszach dziury piszczałek zwiastował mi przybycie królika. Miałem w swojem posiadaniu starą maszynę do pisania, którą nabyłem niegdyś w faktorji za piętnaście franków. Nie potrzeba tłomaczyć, w jakim była stanie, jednak muszę zaznaczyć, że dzwoneczek działał jeszcze bardzo sprawnie.

Prócz tego oryginalnego daru, którego wrażenie miałem już raz okazję sprawdzić w podobnie ważnym wypadku, gdy mi chodziło o pozyskanie względów królika murzyńskiego, przeznaczyłem dla jego królewskiej mości piękny biały kołnierzyk z twardej gutaperki kalibru 49, stary hełm kolonjalny korkowy w dobrym stanie z wentylatorem, a dla matki króla parę białych skarpetek, pulweryzator od insektów, taki, jakie używają nasze gospodynie na prusaki, dużą chustę kolorową o pięknym kwiecistym deseniu, oraz większą ilość tytoniu. Dla Mumo miałem przyszykowane długie kalesony w kratkę i sztywną koszulę frakową, która, nie wiem jakim sposobem, dostała się do mego afrykańskiego ekwipunku. Dla Mahijani przeznaczałem pewną sumę pieniężną.

Cała wieś przybyła na te jedyne w swoim rodzaju zaślubiny. Król wyraził swą zgodę i był bardzo kontent z podarunków, nie mogąc się nacieszyć maszyną do pisania, oglądając ten kawałek szmelcu na wszystkie strony. Niezwłocznie też nałożył kołnierzyk, a po przymierzeniu hełmu nasadził go z rozmachem na głowę swej matki, odbierając jej zato tytoń.

Przekomicznie wyglądała ta maskarada, szczególnie królowa-matka, ohydna goła starucha o długich, płaskich piersiach i pomarszczonem cielsku; za cały strój posiadała rząd paciorków wokoło bioder, na nogi nałożyła skarpeteczki, hełm zaś, stanowczo za duży, wpadł jej po dziurki od nosa. Był to widok tak przekomiczny, że nie mogłem się uspokoić, napadnięty furją szalonego śmiechu.

Wkrótce wystąpił na widownię Mumo, bardzo dostatnio i oryginalnie wyglądający w kalesonach pepita oraz imponująco białej koszuli. noszącej jeszcze ślady wysztywnienia europejskiego. Objął wielką łapą za szyję swą narzeczoną i prowadził ku królowi. Ta z dumą ściskała w dłoni parę dwudziestofrankowych banknotów. Całe towarzystwo kucnęło w pobliżu króla, poczem zadźwięczały ohoczo „tam-tamy" i piszczałki i zaczęło się murzyńskie hasanie.

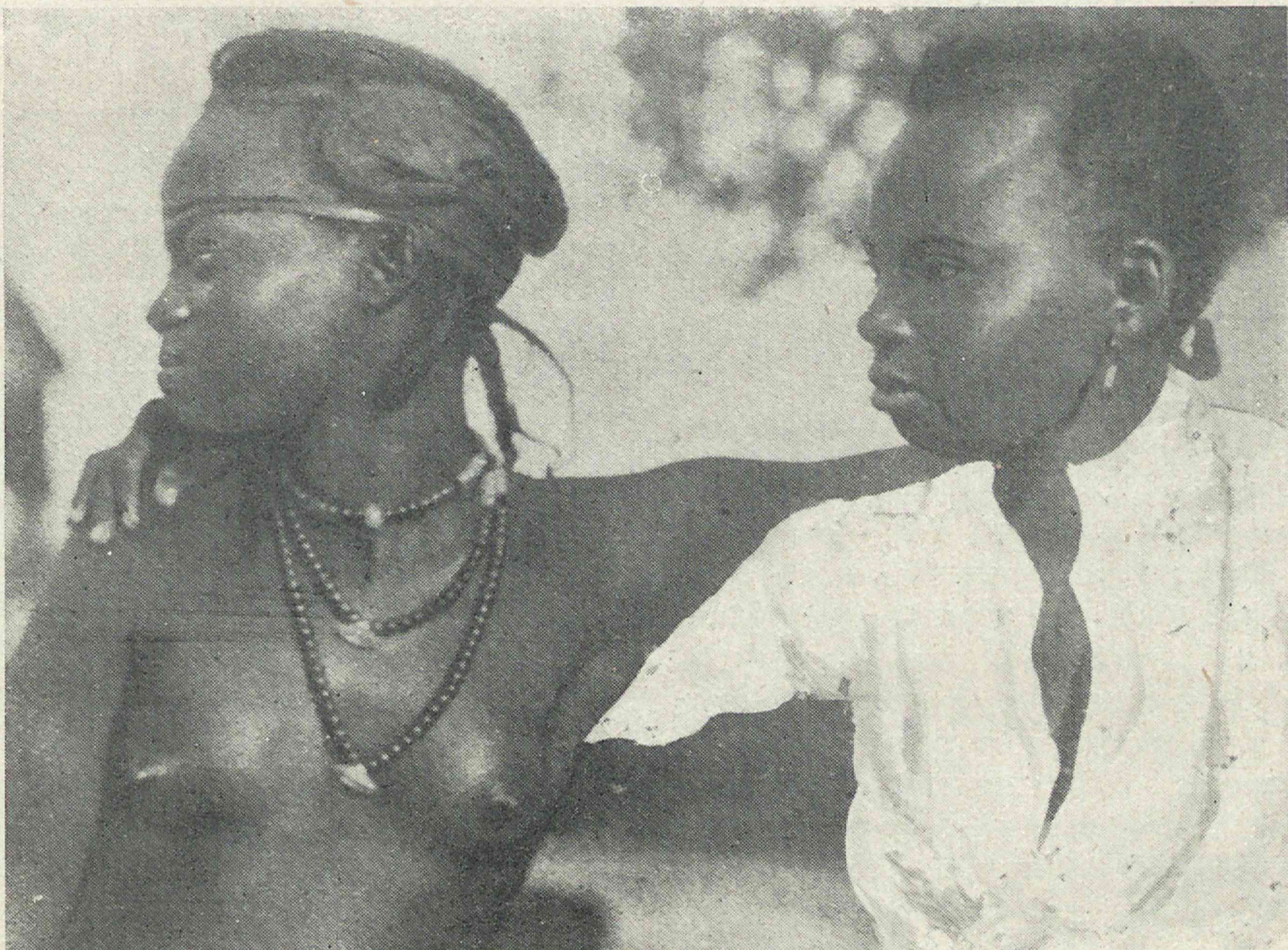
Zadowolony ze szczęścia, które za moją inicjatywą spłynęło na paru wybrańców losu, pozostawiłem Mahijani jej losowi, sam zaś wróciłem do obozu. Wioska, przy której obozowałem, słynęła w całej okolicy, jako jedno z bardziej niespokojnych środowisk. Czuwały tam jeszcze resztki praw feudalnych, polegających głównie na stosowaniu kar cielesnych przez naczelnika plemienia. Nie było dnia, aby przed szałasem króla nie odbywała się chłosta różnych delikwentów.

*) kapita — adjutant królewski.

Do pomocy w sprawowaniu rządów są w każdem plemieniu obierani tak zw. kapita, przeważnie krewni najbliżsi szefa. Mają oni ogromną władzę, są zazwyczaj okrutni i bezwzględni, tyranizując podwładnych i dopuszczając się najbardziej bezprawnych wybryków i ekscesów. Kapita jest obowiązany wiedzieć o wszystkiem, prowadzi on ewidencję czynszów i danin, które podwładni winni są królowi, jest „au courant" wszelkich kradzieży i sekretów małżeńskich, wie, które żony zdradzają mężów, ile kóz ma otrzymać prawowity małżonek od amanta żony, lub jaką wartość przedstawia dla ojca nadszarpnięta cnota córki.

Zdarzyło mi się nieraz podczas mego pobytu wśród dzikich murzyńskich szczepów być wybieranym na sprawiedliwego sędziego dla rozstrzygnięcia różnych sporów i zawiłych spraw między tymi prymitywnymi ludźmi. I niema sposobu uniknąć zaszczytu pełnienia takiej funkcji, bez śmiertelnego obrażenia całej wioski. Zwykle białego sadzają na honorowem miejscu przed szałasem królewskim, pod prymitywnym baldachimem z piór lub szerokich liści, otaczając go świtą, złożoną z żołnierzy uzbrojonych w długie sagaje i batogi ze skóry hypopotama, i powierzają mu wśród dzikiej wrzawy i harmidru sądzenie bieżących spraw, często niesłychanie zagmatwanych i śmiesznych. Czarni bardzo sobie cenią wyrok białego, uważając go za bezapelacyjny i sprawiedliwy, choćby nawet ten sędzia przygodny skazał na chłostę zamiast oskarżonego — poszkodowanego.

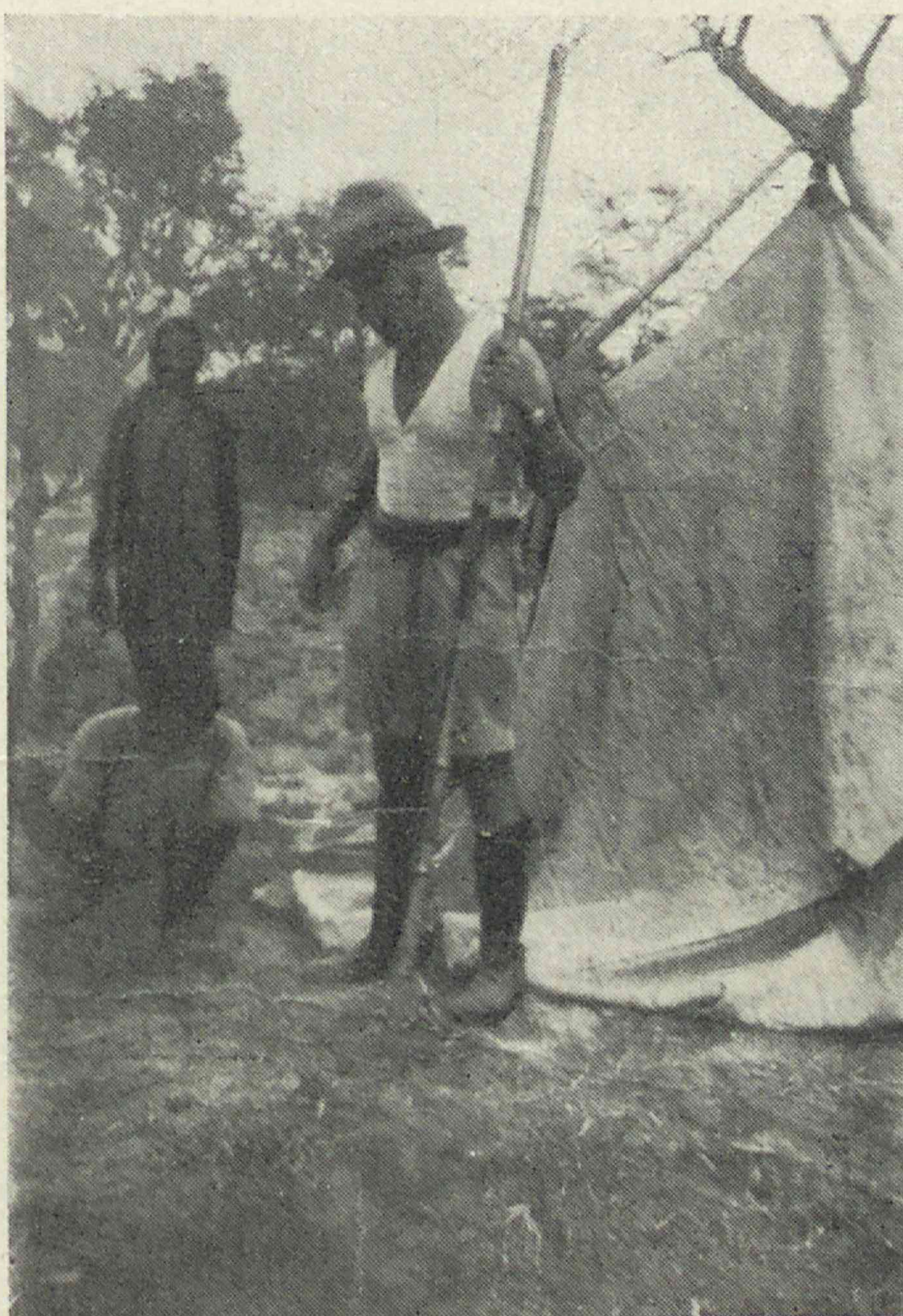
Chłosta odbvwa się w ten sposób, że podlegający karze murzyni kładą się goli na ziemi, w dwa szeregi, poczem kapita, lub żołnierz uzbrojony w straszliwy bat ze skóry hypopotama, zwany szikota, uderza okrutnym młyńcem po zadku przestępcy, przechodząc wnet do następnego. Po jednorazowem uderzeniu i obejściu wszystkich skazańców, kapita znów powraca do pierwszego, starając się, aby kara trwała jaknajdłużej. Razy są straszliwie ostre, jak cięcie szabli, skóra po kilku uderzeniach pęka i krew skrapla nieszczęsne czarne ciało. Słowa protestu lub krzyki są w takich razach zupełnie daremne; o ile delikwent nie leży spokojnie i stara się, kręcąc i wijąc, ominąć przeznaczony dlań cios, natenczas dwóch negrów siada mu na karku i nogach, zmuszając do posłuszeństwa. O ucieczce niema mowy, bo delikwenta zawsze złapią i z dziką rozkoszą wychłostają jeszcze surowiej. Przy pomocy „tamtamów" niezwłocznie telegram idzie w świat, podawany ciągle dalej, tak że cała najbliższa i daleka okolica jest powiadomiona o najmniejszem zdarzeniu, godnem uwagi. Telegraf murzyński jest nadzwyczaj pomysłowy i w wielkiej mierze podobny do alfabetu Morsa, z tą tylko różnicą, że klucz jest inny i nie wzrokowy, lecz słuchowy. Ileż to razy, gdy karawaną dochodziłem do wioski, zastawałem u wejścia całą delegację, oglądającą białego, jako curiosum, dziwne zwierzę z za oceanu. Byli oni uprzedzeni o mojem przybyciu głosem potężnych „tam-tamów". Ile powstań i wojennych wyczynów szykują czarni w iście rekordowem tempie, zawdzięczając to jedynie misternym szyfrom, idącym przez przestworza, a tylko im znanym.



MUMO OBJĄŁ SWĄ NARZECZONĄ ZA SZYJĘ

Tego samego dnia spakować kazałem skóry, aby w dniu następnym wyruszyć w drogę. Benzyny miałem już zaledwie 50 litrów, a oliwę z zastraszającą szybkością konsumował zmęczony motor, tłoki którego, mające nadmierny luz, spalały do 4 klgr. na 100 kilometrów. W tych stronach nigdzie o zaprowiantowanie się w smary mowy być nie mogło, więc zmieszałem pozostałą oliwę z olejem palmowym, zakupionym na miejscu. Jaki będzie rezultat tej lubryfikacji — zobaczymy; trzeba się ratować, jak można. Późnym wieczorem przyszło dwóch wojowników i przyniosło mi dwie młode małpy, które od nich za różne drobiazgi wymieniłem. Umieściłem je w klatce z bambusa, skleconej na dachu auta, gdzie już dwie ich siostry oddawna dzieliły losy moich ciężkich tarapatów podróżnych.

Skoro świt załadowałem przy pomocy boy'ów namiot i kamping na maszynę i po spożyciu sutego śniadania puściłem motor, którego gang wprawił mnie w doskonały humor, bo — przyznam się — lubiłem tę jazdę pełną przygód po niemożliwych drogach i wertepach, gnany żądzą coraz to nowych przeżyć, nowych wrażeń, widoków nieoczekiwanych, oglądanych na tak długim przebytym już szlaku czarnego lądu.



SPAKOWAĆ KAZAŁEM SKÓRY...

(D. c. n.) *Wojciech Marylski*



TYDZIEŃ ŚWIATA

Narastające kolizje

(Wig.) Podczas pędzącej z błyskawiczną szybkością dyskusji budżetowej w Sejmie jeden moment zatrzymał na sobie powszechną uwagę. Poseł Rybarski oświadczył w zakończeniu swej mowy:

„Cztery miesiące dzielą nas w tej chwili od czasu, gdy posłowie i senatorowie w Zgromadzeniu Narodowem mają dokonać wyboru Prezydenta. Źródłem władzy Prezydenta, który ma być czynnikiem, stojącym ponad partjami, powinny stać się izby ustawodawcze, pochodzące z wyborów, wolnych od oszustw i teroru. Tak przeprowadzone wybory są niezbędnym warunkiem tego, by przyszły Prezydent miał w dzisiejszem, niezwykle ciężkiem położeniu narodu i państwa, należytą powagę i znaczenie. Od spełnienia tego warunku uzależniamy stanowisko nasze w akcie wyboru Prezydenta".

Słusznie podniesiono doniosłość tej deklaracji z punktu widzenia państwowego, ale niesłusznie nazwano ją „niespodzianką". Można to było łatwo przewidzieć. Krytyczny stosunek znacznej części społeczeństwa do sposobu przeprowadzenia wyborów w 1930 roku znany był od początku. Znalazł on wyraz w oficjalnie zgłoszonych, niezwykle licznych protestach wyborczych. Mniejsza o to, czy słusznie, czy niesłusznie, dość że zakwestjonowano poważną ilość mandatów poselskich, a pośrednio prawo większości sejmowej do reprezentowania woli Narodu. Stąd już prosty wywód logiczny prowadził do stanowiska posła Rybarskiego.

Aby przynajmniej formalnie usunąć wszelkie wątpliwości co do prawidłowości wyborów, powinien był Sąd Najwyższy jaknajrychlej rozpatrzeć wszystkie sporne sprawy i wydać orzeczenie. Nie stało się to nawet w 50% zgłoszonych protestów, chociaż od wyborów minęło 2 i pół roku, czyli połowa kadencji obecnego Sejmu.

Zwracaliśmy na tem miejscu uwagę na niebezpieczeństwo takiej zwłoki. Dzisiaj ujawniło się ono w całej pełni. Zamiast stopniowo usuwać przyczyny nieporozumień i tarć wewnętrznych, dopuszczamy do coraz większego nagromadzenia się kwestji spornych, punktów zaognionych, pozycji wątpliwych.

Deklaracja posła Rybarskiego stawia przed nami perspektywę zachwiania moralnego oddziaływania czynnika, którego trwałość, bezsporność i autorytet są podstawą istnienia państwa.

Zły początek

(V.) Pierwszy występ Hitlera w charakterze kanclerza odbył się... na pogrzebie. Chowano zabitego w starciu z komunistami narodowego-socjalistę Majkowskiego i policjanta Sauritza, poległego podobno od kuli hitlerowców. Na cmentarzu obecny był Kronprinz, który demonstracyjnie uścisnął brata Augusta Wilhelma, jednego z przywódców hitleryzmu.

Takich pogrzebów ofiar walk partyjnych codzień jest kilka. Ale ten odbył się na koszt państwa — celem podkreślenia momentu dojścia do władzy obozu sfastyki. Dotychczas republika niemiecka tylko trzem ludziom urządziła pogrzeby państwowe: pierwszemu prezydentowi Ebertowi, ministrowi Stresemanowi i kanclerzowi Müllerowi. Szturmowiec hitlerowski jest czwartym w tym szeregu...

Jeśli jednak ma się to stać precedensem na przyszłość, skarb Rzeszy czeka poważny wydatek. Komuniści i socjaliści bowiem nie zamierzają inaczej traktować członków partji rządzącej, jak traktowali rewolucyjnych nacjonalistów. Co więcej, przyłączyli się do nich secesjoniści hitlerowscy, najbardziej awanturniczy i zdecydowany żywioł, którzy w wydanej odezwie piszą: „Bojowe oddziały partji demonstrowały nie przeciwko giełdzie, nie przeciwko reakcji, nie przeciwko Rzymowi i Żydom, nie przeciwko Traktatowi wersalskiemu, lecz przeciwko swym rodakom, przeciw towarzyszom niedoli, towarzyszom walki ze wspólnym wrogiem. Front przeciwko Domowi Karola Liebknechta — to zdrada socjalizmu, to zdrada nacjonalizmu, to zdrada idei narodowej".

Ci zasilą wkrótce szeregi komunistyczne. Widać to chociażby z końcowych wezwań ich proklamacji:

„Zwróćmy się frontem przeciwko dzielnicy banków! Frontem przeciwko Wilhelmstrasse (siedziba rządu)! Frontem przeciwko poselstwu polskiemu"...

Z temi hasłami pójdą oni do wyborów — ręka w rękę z komunistami, którzy głoszą to samo.

Ciągłe rozwiązywanie ciał prawodawczych i przeprowadzanie nowych wyborów ma na celu zmęczenie społeczeństwa i wyczerpanie kas partyjnych, gdy stronnictwu rządowemu nie zbraknie pieniędzy ze skarbu państwa. Ale nie zbraknie ich też jeszcze jednemu obozowi, o czem się zapomina, — komunistom, zasilanym obficie z Moskwy. Rozszczepianie Niemców na dwa bloki — czarny i czerwony, monarchistyczny i republikański, — poszło bardzo naprzód i bodaj już ma się ku końcowi. Jest to jedyna pomyślna okoliczność wśród niepokojących zewsząd objawów: lepiej mieć obok siebie Rzeszę rozdartą na dwie wrogie połowy, niż jednolitą i zgodną.

Zmiana rządu w Niemczech



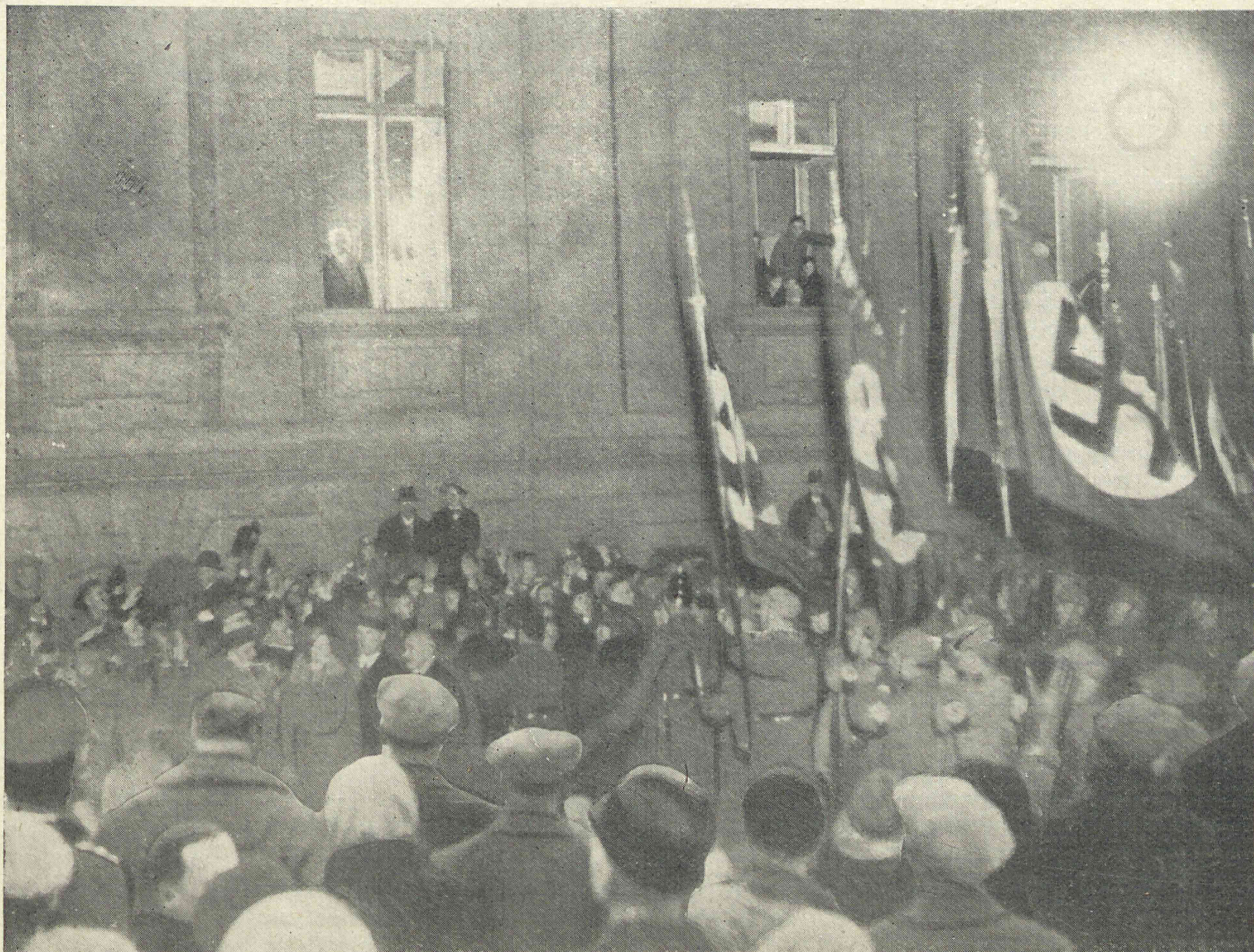
GEN. SCHLEICHER Z ŻONĄ OPUSZCZA PAŁAC KANCLERSKI

Wspólna własność

(go) Osoba świeżo przybyła z Raju Komunistycznego opowiedziała nam dwa klasyczne wypadki, będące najistotniejszem wypowiedzeniem się ustroju, gdzie nikt w niczem nie ma zainteresowania indywidualnego, gdzie wszystko się dzieje na rachunek komuny, gdzie nikt nie odpowiada kieszenią, gdzie zawsze — Grecja płaci.

Zarządzono masowy połów ryb

Przepołowienie opinji publicznej w Niemczech



Nocne manifestacje hitlerowców przed pałacem przezydenta Rzeszy z powodu mianowania Hitlera.
W oknie ukazał się Hindenburg Fot. „New York Times"



Mityng socjaldemokratów w Berlinie przeciwko oddaniu rządów Hitlerowi

w pewnej miejscowości na Wołdze. Rozkaz wykonano niezwłocznie i złowiono ilości olbrzymie. Cóż to jednak wykonawców rozkazu mogło obchodzić, że sól do konserwowania tych ryb jeszcze nie nadeszła. Transport się spóźnił. Tymczasem ryby zgniły. Wreszcie sól otrzymano. Ale ponieważ nie było już co solić, więc wysypano sól z wagonów na brzeg, bo przecież nie opłacało się wozić soli z powrotem. Przyszła ulewa, sól się roztopiła i spłynęła do rzeki.

A oto drugi kwiatek. Postanowiono w programie gospodarczym Piatiletki zracjonalizować hodowlę trzody. Wybudowano wzorową farmę, z chlewami wykładanemi terrakotą, z automatycznemi korytami dla indywidualnego karmienia, z kąpieliskami dla świń i t. p., słowem — pałac na 20.000 nierogacizny. Dla zapoczątkowania tej nowożytnej hodowli sprowadzono z Anglji 12.000 Yorkshire'ów. Ale cóż... Podróż daleka... Tyle stacji po drodze... Każdy był ciekawy, jak taki yorkshire smakuje... Trudno znów każdą świnię za ucho trzymać... Tak coś się z niemi stało, że dojechały tylko dwie. Umieszczono je w pałacu...

Jednak w ustroju opartym na gospodarstwie prywatnem takie marnotrawstwo dobra publicznego jest nie do pomyślenia.

Okruchy

(k) W budżecie tegorocznym pozycja świadczeń na literaturę wynosi 85 tys. złotych! Suma ta ma wystarczyć na wszystkie wydatki, związane z popieraniem rodzimego piśmiennictwa. Wydawnictwa, zapomogi, stypendja, subwencje, nagrody... Zaiste, można śmiało powiedzieć, że w budżecie Ministerstwa W. R. i O. P. literatura została całkowicie pominięta.

Kaden-Bandrowski oblicza, że najskromniejszy budżet na cele literackie nie może wynosić mniej, niż pół miljona złotych. Dodajmy: obliczenie, jakie czyni, jest nad wyraz oszczędne.

Za czasów niewoli literatura polska, pozbawiona opieki państwowej, cieszyła się gorącem poparciem ze strony społeczeństwa. W życiu narodowem odgrywała rolę pierwszorzędną. Teraz pozostaje w coraz zupełniejszem opuszczeniu. Wydawcy bankrutują, dawne fundacje potraciły swoje kapitały, bogatych mecenasów zbrakło.

Piśmiennictwo polskie przeżywa ciężki okres. Ulżyć swej doli może tylko przez zespolenie wysiłków, przez podjęcie solidarnej akcji ratunkowej, akcji, któraby sięgnęła poza ciasne ramy różnic i niechęci grupowych i politycznych.

Państwo, jako kupiec

(sg.) Dobry kupiec, dostrzegłszy brak zainteresowania publiczności w swojej branży, zaczyna obniżać ceny pobierane, aby przyciągnąć klijentelę.

Młode państwo nasze okazało się złym kupcem. Kiedy antrepryzy w posiadaniu państwa zaczęły nie dawać dostatecznych, a przewidywanych w budżetach dochodów, dla podniesienia ich rentowności postanowiono — podnosić taryfy. A więc w ciągu paru ubiegłych lat podwyższono opłaty pocztowe, telefoniczne, kolejowe i t. d. Rezultat okazał się wręcz przeciwny zamierzonemu.

Na poczcie zmniejszył się obrót listów. Liczba rozmów telefonicznych między miastami zmalała radykalnie. Rozmowy terminowe straciły znaczenie, połączenia zwyczajne, przy braku klijenteli, otrzymuje się bowiem w ciągu paru minut. Pociągi świecą pustkami, wobec o wiele tańszych autobusów. Towary na przestrzeniach do 200 kilometrów zaczęto wozić końmi, psując i tak już liche u nas drogi bite.

Obecnie w Sejmie i na konferencjach specjalnych obraduje się nad sposobami ożywienia ruchu na kolejach.

Ożywić je może jedynie zmniejszenie taryf i zaprowadzenie dogodnych rozkładów jazdy. Nasze opłaty kolejowe i pocztowe należą do najdroższych w Europie.

Nonsensem gospodarczym staje się fakt, że czworonożny koń znów konkuruje z koniem parowym swoją taniością transportu.

Pech Makkabjady

(S.) Tegoroczna kapryśna zima spłatała brzydkiego figla żydowskim sportowcom, którzy zjechali do Zakopanego na pierwszą zimową „Makkabjadę", czyli na międzynarodowe zawody zrzeszenia sportowego „Makkabi", posiadającego swoje oddziały w 32 krajach. Pierwszego dnia zawodów było ciepło i mokro, nazajutrz był lód, wieczór trzeciego dnia pozwalał mieć najlepsze nadzieje na ostatni dzień, niedzielę, kiedy właśnie bezustannie lał deszcz. Śnieg, który wypadł drugiego dnia, wybrał sobie najgorszą porę, — bo te dwie godziny, kiedy grano w hokeja i kiedy walczono ze śniegiem, zamiast z przeciwnikiem.

Wyniki sportowe były nikłe, i wyniki propagandowe dla Zakopanego mniejsze, aniżeli można uzyskać, ściągnąwszy do Zakopanego ponad 10 tysięcy ludzi. Zacierali ręce jedynie właściciele dancingów, gdzie tłoczono się z niemniejszem narażeniem zdrowia, aniżeli na zdradliwych deskach, których nawet największy snob narciarski nie odważyłby się nosić po Krupówkach przy takiej pogodzie.

Obrazki z życia

(sg.) W jednem z naszych miast prowincjonalnych odbywał się powiatowy zjazd ziemian.

Zapytano miejscowego właściciela restauracji, czy na ten dzień obficiej zaprowiantował swoją kuchnię.

— Z powodu zjazdu ziemian? — zdziwił się. — Oczywiście, że nie! Ziemianie, przyjeżdżając obecnie do miasta, a nie mając pieniędzy, przywożą z sobą w kieszeni posiłek i do restauracji nie zaglądają. Ale jutro odbywa się u nas powiatowy zjazd sołtysów. Ponieważ z urzędu otrzymają oni za przyjazd djety w gotówce, więc przygotowuję dla nich większą ilość zakąsek do wódki.

. . . .

W innem mieście na prowincji zapytany właściciel składu kolonjalnego, czy na ubiegłe święta był należycie zaopatrzony w bakalje i delikatesy, odpowiedział:

— W latach normalnych trzy czwarte zbytu obliczałem na okoliczne ziemiaństwo. Resztę — na nabywców w mieście. Obecnie na wieś nie liczyłem wcale, dla miasta zaś sprowadziłem tylko połowę zwykłych obstalunków.

— A rezultat?

— Jeszcze się przeliczyłem i zostałem z resztkami towarów.

. . . .

Czy lepiej jest w Warszawie?

Jeden z większych składów futer w stolicy skarży się, że do tej pory, choć zima w pełni, nie wykupiono oddanych na przechowanie letnie i do przeróbek palt, za które należy się jeszcze zgórą 70 tysięcy złotych.

Nawet ostre mrozy nie zmusiły ich właścicieli do wykupienia futer. Uwijano się po ulicach w jesionkach, otulając szyję szalikami...

W ŁODZI PODWODNEJ

Wizyta pierwszego „cywila" na naszym „Wilku"

Dla obrony małego, ale jakżeż cennego skrawka naszego morza posiadamy trzy łodzie podwodne; wszystkie zaopatrzone są w najnowsze urządzenia, wszystkie stanowią ostatni wyraz techniki, — lecz jest ich tylko trzy! A powinno być — jeśli akcja ma być celowa i skuteczna — conajmniej dziewięć.

Miejmy nadzieję, że wkrótce dojdziemy do tej liczby. Zależy to w znacznej mierze od zrozumienia przez ogół społeczeństwa ważności posiadania tego typu statków wojennych.

Chcąc dać pojęcie naszym Czytelnikom o urządzeniach łodzi podwodnych, zamieszczamy poniżej wrażenia ze zwiedzenia jednej z nich przez pierwszego „cywila", który dopuszczony został do wnętrza tej „stalowej ryby", nurkującej w głębinach morskich.

Z portu dochodził gwar i zgiełk, ryk syren i gwizdy okrętów. Kom. K. prowadzi mnie do doków stoczni Augustin Normand'a. Przechodzimy przez najruchliwsze dzielnice portowe obok wielkich basenów. Komunikacja głównie autami, pieszych można na palcach policzyć. Przez jezdnie przewija się legjon rowerzystów — to robotnicy wracają do domów na obiad.

Bassin de la Citadelle. To tutaj. Wielka hala wypełniona setkami obrabiarek, kuźni, ślusarni i t. p. „Meldujemy" się w biurze. Dowódca pierwszej polskiej łodzi podwodnej, kpt. A. Mohuczy, czeka na nas. Palę się, żeby już nareszcie zobaczyć groźne cygaro. Wreszcie wychodzimy na brzeg basenu. Pędzę po kamiennym randzie doku, oglądam z zachwytem to cudo techniki. Łódź ma kształt doprawdy piękny: — wysmukła, podobna do długiego, nieco spłaszczonego po bokach cygara, zakończonego z tyłu oryginalnym, zabawnym wachlarzem stalowym, chroniącym śrubę od niepożądanych zetknięć.

Mój cicerone informuje uprzejmie: „Wilk", podobnie jak jej siostrzyce „Ryś" i „Żbik" ma długość 79 mtr., szerokość 5,5 mtr. Zanurza się w stanie nadwodnym 4,75 mtr., pojemność 1.550 ton rej. brutto, szybkość nad wodą 14 węzłów (około 25 km. na godz.), pod wodą 9 węzłów (około 17 km. na godz.).

Nie mogę zrozumieć jednej rzeczy: dlaczego „to" się nazywa „łódź"? Myślałem, że ujrzę niewielką łódkę, a to przecie cały okręt. I trzeba nadto pamiętać, że „Wilk" nie należy do łodzi największych — jego wymiary leżą w granicach statków podwodnych średniej wielkości.

Wreszcie wchodzimy po kładce na pomost „łodzi". Wzruszenie chwyta za serce...

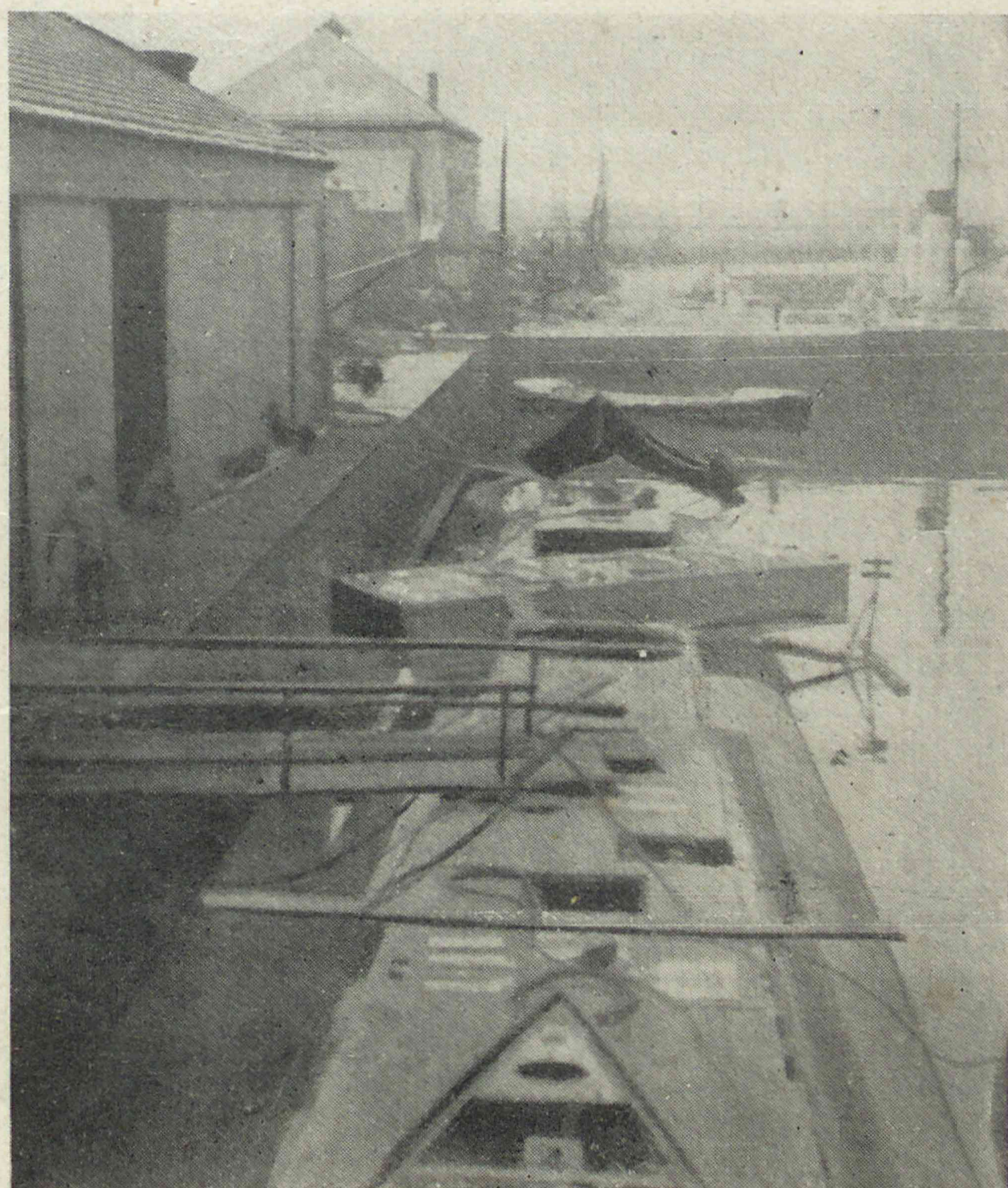
Moi, niezwykle uprzejmi towarzysze objaśniają mi wszystko dokładnie i przystępnie. Idziemy teraz po górnym pokładzie, wyłożonym dowcipnie połączonemi deseczkami. Na przedzie i z tyłu łodzi, wtulone w zaokrąglenia górnego pokładu, leżą dwa podnoszone 15-metrowe maszty radjowe, na których rozciąga się—w razie „pobytu" łodzi nad wodą — 36 metrowe druty anteny (dość gruba linka stalowa).

— Zasięg stacji nadawczej — około 100 mil — słyszę objaśnienie. W nocy zasięg się podwaja. W razie pogrążenia się łodzi pod wodę, „cygaro" posiada do odbioru inne, specjalne urządzenia.

Po obu bokach głównego kadłuba łodzi znajdują się dwa wielkie tanki — zbiorniki wody morskiej, odgrywające rolę równoważących pływaków w „rejsie" nadwodnym. Gdy pada rozkaz „zanurzyć się" — klapy tanków odskakują, potrzebna ilość wody wlewa się do zbiorników i „stalowa ryba" idzie pod wodę. Jak trzeba łódź wydobyć na powierzchnię — wypycha się wodę ze zbiorników zapomocą



PRZÓD „WILKA". NA FOTOGRAFJI WIDAĆ MNIEJWIĘCEJ CZWARTĄ CZĘŚĆ ŁODZI



TYŁ „WILKA" WIDZIANY Z DASZKU KOPUŁY. WIDAĆ PRZEKRĘCONĄ W PRAWO WYRZUTNIĘ TORPED

sprężonego powietrza i łódź wypływa.

Podchodzimy do najbardziej wystającej części łodzi — mostku z dość cienkiej blachy stalowej, ostro zakończonego z przodu, tępo obciętego z tyłu. Kilku robotników majstruje przy aparatach sygnalizacyjnych, trzech innych boruje otwory w grubym stalowym pancerzu łodzi. Wszystko, nawet najbłahsze przedmioty — jest tu stalowe, mocne, dokładnie, precyzyjnie wykonane. Z morzem niema żartów, zwłaszcza jak się chce chować pod jego powierzchnię.

Schodzimy do „kabiny" kierownika łodzi i pierwszego sternika. Oglądam, podziwiam całą tę oszałamiającą — skomplikowaną aparaturę. Stąd, zapomocą kompleksu grubych rur mosiężnych, biegną do różnych części łodzi rozkazy. W tylnej części kapitańskiej kabiny mieści się okrągła, szeroka rura peryskopu, który — jak żóraw szyję — łódź wysuwa nad powierzchnię wody, aby zbadać — sama nie będąc widoczną — kto jest na horyzoncie.

Schodzimy niżej, do „świątyni" pierwszego oficera. Fantastyczna plątanina kablów, drutów, rur, całe ściany desek z przedziałkami, setki napisów, znaków, sygnałów.

— Jak szybko łódź może zanurzyć się pod wodę? — rzucam pytanie.

— W ciągu minuty, choć przy dobrze wyćwiczonej załodze można to zrobić w 50, a nawet w 45 sekund — odpowiada kpt. Mohuczy.

— A ilu marynarzy mieści w sobie takie „piekielne pudełko"?

— Trzech do pięciu oficerów i 41 marynarzy — pada odpowiedź.

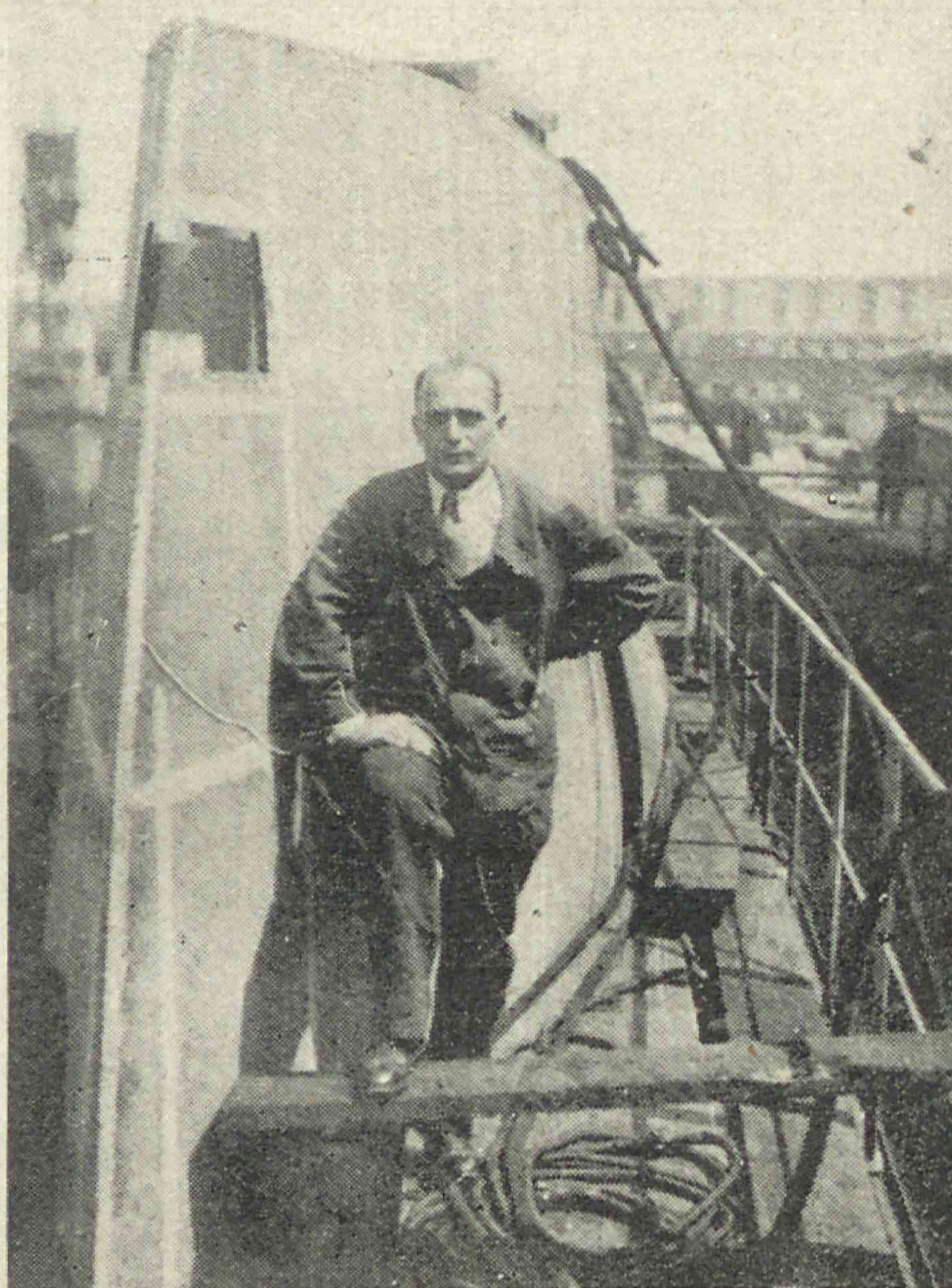
Zwiedzamy pokoiki marynarzy, kuchnię zwykłą i elektryczną (na elektrycznej gotuje się w czasie pobytu łodzi pod wodą). Każdy kąt, każda szpara niemal wyzyskana. Sprytnie umieszczone łóżka dla załogi — „wchodzące" w ściany umywalnie i t. p. Całe urządzenie łodzi przystosowane jest do dwu okoliczności: rejsu podwodnego i nadwodnego.

Schodzimy jeszcze niżej — do sali maszyn i torped. Zajmuje ona dziewięć-dziesiątych przestrzeni łodzi.

Otwieramy potężną rurę — lufę, przez którą wybiega w morze 400 kilogramowy złośliwy potworek — torpeda. Skomplikowane urządzenia, specjalne szyny i dźwigary, poruszane bądź ręką ludzką, bądź napędem elektrycznym, wsuwają torpedę, wypełnioną najsilniejszemi materjałami wybuchowemi (trinitrotoulol) do ogromnej lufy. Zamyka się hermetyczna klapa, puszcza się w ruch przyrząd ze sprężonem powietrzem i straszny pocisk pędzi po morzu, znacząc jasną wstęgą pęcherzyków powietrza wypuszczanych z żyroskopu (aparat napędowy) swój śmiercionośny ślad.

Nowoczesne torpedy działają na dystans do 3.000 metr., idąc od 1 do 5 mtr. pod wodą — zależnie od nastawienia. Bardzo sprytnie pomyślane narzędzie śmierci.

Takich potworków łódź zabiera ze sobą aż 40-ci, a wyrzuca je w miarę potrzeby przez 6 „luf". 2 wyrzutnie nieruchome mieszczą się na przedzie łodzi, dwie inne z tyłu. Wreszcie na tylnej części łodzi u góry umieszczono trzecią „dubeltówkę" torpedową — ruchomą wyrzutnię. Działa szybciej, gdyż nie trzeba ustawiać całej łodzi w kierunku potrzebnym do zaatakowania okrętu — kręci się tylko „lufę".



STALOWA KOPUŁA — NAJBARDZIEJ WYSTAJĄCA (POZA MASZTAMI RADJOWEMI) CZĘŚĆ ŁODZI, OSŁANIAJĄCA JEDNĄ Z KABIN WYJŚCIOWYCH

Przez kłębowisko przewodników, rur i drutów — jakby to wszystko rozwinąć, byłoby z 50 kilometrów — objaśnia popularnie kpt. Mohuczy — dostajemy się do sali maszyn. Tutaj porządek idealny. Po obu stronach kurytarzyków wznoszą się czarne tablice, na nich mosiężne rączki, napisy, jakieś znaki, kluczyki, zasówki, gwoździki, sprzączki — cały legjon najrozmaitszych przyrządów.

Opuszczamy salę maszyn, przyrządów do odświeżania powietrza, aparatów do ładowania akumulatorów, maszyn służących do sprężania powietrza potrzebnego do wypychania torped (po wypuszczeniu torpedy przyjmuje się natychmiast, dla równowagi, odpowiednią ilość wody) i wody i schodzimy na sam dół statku do „składu akumulatorów". Wielkie, czarne, stoją jeden obok drugiego, jak żołnierze na mustrze. Jest ich aż 200 sztuk (każdy o sile 7.000 ampero-godzin), a jeden waży dobre kilkaset kilo i kosztuje około... 5.000 złotych.

— Akumulatory stanowią największe obciążenie łodzi, dają maszynom niezbędną siłę — objaśnia mnie mój cicerone — połączone razem mają siłę równą elektrowni małego miasta!...

— Jesteśmy już ze trzy metry pod wodą, na samym spodzie łodzi — komunikuje towarzysz.

Zrobiło mi się gorąco...

Dopiero uśmiechnięte twarze towarzyszów rozwiały niepokój i „zły stan nerwowy", jaki budził się w tej ciasnej, czarnej kabinie, oświetlonej bladem światłem małych lampek elektrycznych, odbijających swe mdłe promienie od gładkich, czarnych „twarzy" akumulatorów.

Z przyjemnością wychodzę na powietrze. Z rozrzewnieniem gładzę lufę małego działa (łódź ma ich dwa: 100 mm. i 40 mm.) obsadzonego na pokładzie łodzi — to stary dobry „znajomy", normalna broń lądowa.

Już łatwiej słuchać mi objaśnień o najnowszych wynalazkach z dziedziny radjotechniki i przystosowania ich do użytku łodzi podwodnych. Dowiaduję się, że łódź podwodna od niedawno zaczęła „widzieć" pod wodą, dzięki wynalazkowi sondy ultradźwiękowej, pozwalającej w każdej sytuacji zorjentować się, w jakiej odległości od dna morskiego znajduje się płynąca łódź. To „oko submachiny" pozwala prześliznąć się nawet przez stosunkowo bardzo płytką cieśninę, podejść bezpiecznie do zatoki lub portu, chroni od niespodziewanego i zawsze groźnego zetknięcia się z dnem morza...

*

Wolno szedłem do hotelu. Niebo krwawiło się łuną zachodzącego słońca. Ten kolor nieprzyjemnie raził oczy. — Jaka to szkoda, pomyślałem, że jeszcze nie nacieszyliśmy się pokojem, a już musimy myśleć o wojnie.

Tadeusz Grabowski

Ruiny Szanhaikwanu

W styczniu r. b. wojska japońskie niespodziewanie zaatakowały Szanhaikwan, handlowe miasto Chin Północnych, leżące tuż przy Wielkim Murze Chińskim i będące bramą wejściową do prowincji mongolskiej Dżehol oraz przedsionkiem niejako Tien-Tsinu i Pekinu.

Po dwudniowem bombardowaniu z ciężkich dział i aeroplanów, kwitnące miasto zostało zamienione w perzynę, jak to widać z zamieszczonych obok fotografji. Po takiem przygotowaniu artyleryjskiem piechota japońska z łatwością opanowała ten ważny punkt strategiczny, otwierający Japonji drogę do Mongolji Wewnętrznej i Chin Właściwych.

Ale taka perspektywa przepełniła miarę cierpliwości międzynarodowej. Pod wpływem wieści o losach Szanhaikwanu zmieniły się opinje państw zainteresowanych na Dalekim Wschodzie i „Komitet 19-stu", zajmujący się zatargiem chińsko-japońskim z ramienia Ligi Narodów, powziął decyzję, zatwierdzającą w zasadzie konkluzje raportu Lyttona, polecającą państwom nieuznawanie niezależności Mandżurji i niewchodzenie z nią w żadne stosunki.

Stanowisko to jest zgodne z zasadą szanowania traktatów i potępiania faktów dokonanych wbrew nim, czego dopuściła się Japonja.



STAROŻYTNA WIEŻA CHIŃSKA USZKODZONA PRZEZ JAPOŃCZYKÓW

WYGLĄD MIASTA SZANHAIKWANU PO SZTURMIE JAPOŃSKIM

Świat książki

† GALSWORTHY

(skrz) Gdy umiera pisarz, z którym się obcowało tak chętnie i dużo, odnosi się wrażenie, że tracimy dobrego, kochanego przyjaciela...

Z jakąż radością witałem każdy nowy tom „Sagi Forsytów"! Czekało mię kilka, kilkanaście dni czarującego towarzystwa człowieka o umyśle głębokim, kulturalnym i wytwornym, człowieka subtelnego, świetnie wychowanego, którego każda myśl i każde słowo nacechowane było wysoką inteligencją i



JOHN GALSWORTHY

najlepszym smakiem. Wprowadzał mię do intymnego home'u rodzin angielskich, odsłaniał ich obyczaje, troski i bóle, przyjemności i radości. Środowisko było zgoła inne, niż nasze, a jednak czułem się w niem doskonale dzięki stosunkowi, jaki zacieśniał się w miarę czytania między mną a autorem.

Kiedyś, za młodych lat, z równym zapałem czytałem „Dzieje rodziny Rougon - Macquartów". Zola jednak nie chciał i nie próbował stwarzać tego intymnego stosunku do swoich powieściowych postaci. Już nierównie bliższe było mi towarzystwo Rastignaców, Rubemprów, Goriotów, Vautrinów z „Komedji ludzkiej" Balzac'a. Lecz i ten wielki, niechybnie większy pisarz nie miał w równym stopniu tego życzliwego, ludzkiego podejścia do postaci, które tworzył, — współczucia dla ich cierpień...

Poznałem Galsworthy'ego, gdy przed trzema niespełna laty bawił przez parę dni w Warszawie, z okazji kongresu Pen-Klubu. Trudno było z nim porozumiewać się, jeśli się nie znało języka angielskiego. Galsworthy już wówczas czynił wrażenie człowieka, nurtowanego poważną chorobą. Znać było w oczach jego głębokie zmęczenie.

Piśmiennictwo angielskie traci jedną z najświetniejszych swoich chlub ostatniej doby.

Ostatnia powieść Galsworthy'ego po polsku

Ukazała się w polskim przekładzie powieść John Galsworthy'ego „Święty". Porusza ona ciekawy problem szczerości i powagi wobec życia. Wykazuje, iż bez pewnej dozy konwencjonalnej obłudy nie można się obejść w społeczeństwie angielskiem. Dotyczy to wogóle każdego zespołu ludzkiego! Nieporozumienie i trudności wywołuje człowiek zbyt dosłownie i prostolinijnie ujmujący przykazania boskie i zwyczaje gromadzkie. Dostojewski ongiś poruszył podobny problem. Bohater jego zwał się „Idjota". W tytule tym jest jaskrawy sąd o „świętości" postaci, stworzonej przez Dostojewskiego. Pisarz angielski unika jaskrawości tak w sądach, jak i koncepcjach beletrystycznych. Bohaterem Galsworthy'ego jest ksiądz anglikański Pierson, człowiek cichy, dobry, uczciwy, muzykalny, lecz istniejący, jakgdyby, poza życiem. Kazania, które głosi, tak urobiły jego umysłowość i psychikę, że nie potrafi znaleść prostej, praktycznej rady. Trzódka parafjalna słucha z nabożeństwem jego oracji, lecz z nich nie korzysta. Kazanie bowiem najbardziej wzruszające jest tylko zbiorem pobożnych życzeń, a życie płynie swojem korytem. Ksiądz Pierson mógłby się nawet rozczarować do własnych kazań, gdyby nie jego wiara. Wierzy on nadal w prawdę swoich słów, choć rzeczywistość dotkliwie doświadcza go i dręczy. W prostocie swego serca cierpi on, lecz nie chce zejść z drogi prawdy, swojej prawdy.

Powieść Galsworthy'ego świetnie maluje stosunki obyczajowe angielskie podczas wojny. Przesuwa cykl wydarzeń i postaci, charakterystycznych dla epoki. Nie sądzi ludzi ani ich czynów, a jednak wnosi zrozumienie dla nowych zjawisk społecznych, rodzinnych i obyczajowych, spowodowanych przez wojnę. Ksiądz anglikański Pierson zapewne nie był jedynym obywatelem Wielkiej Brytanji patrzącym ze smętkiem, iż dobre zwyczaje epoki wiktorjańskiej rozpadły się i zaginęły. Świętość zresztą pojęta zbyt ewangelicznie mogłaby uchodzić za obłudę, gdyby nie szczerość, duża kultura towarzyska i duchowa księdza Piersona.

E. C.

CYKL PIĘCIU NA OLIMPJADĘ

Prace nagrodzone na konkursie przedolimpijskim Min. W. R. i O. P.

Ciekawy dokument czasu. Trochę jeszcze niezgrabnie młodem piórem przeprowadzona apoteoza sportu i obrona przed zarzutem zabójczych jego wpływów na życie intelektualne. — Ze szczególnym zapałem podejmuje się tej obrony autorka „Wiosny greckiej", Hanna Malewska, powołując się nawet na Platona, któremu laur olimpijski, zdobyty w młodości, stał się pierwszym szczeblem do wzniesienia na szczyty myśli. Teza, przeprowadzona dość zręcznie, otwiera drogę do dyskusji. Szkoda tylko, że autorka wpada w „literacką" manjerę nagromadzania opisów natury, a ciężki barok stylu przytłacza przejrzystość myśli.

Nadmiar „literatury" ciąży też nad nowelami Stanisława Zaleskiego p. t. „Największe zwycięstwo". Są tu, zdaje się, wpływy Meissnera, uderza też nieprzyjemnie szablonowość typów, szczególnie kobiecych. Z drugiej jednak strony, nienawiść do kobiet — „zmodernizowanych", z papierosem w ustach i jaskrawą „malaturą", jest bardzo charakterystyczna dla młodego sportsman'a — zapaleńca. Erotyzm tak silną rolę odgrywa w życiu młodzieży, że, broniąc się przed tym „demonem płci", wpada ona w krańcowy purytanizm. Niema tu mowy o jakimkolwiek umiarze. Napróżnoby tłumaczyć, że oprócz miłości i gry atletycznych mięśni pod opaloną skórą istnieje wiele jeszcze pięknych wzruszeń: nie usłuchają.

Ale nowele są dobre. Jest w nich temperament pisarski i doskonale przeprowadzona pointe'a. Szczególnie w dwóch pierwszych opowiadaniach.

Głębiej przecież do istoty sportu i jego pierwotnego związania z naturą sięgają opowiadania: „Wicher" Stanisława Szczawińskiego i Władysława Buszyńskiego „W Karpatach", bardziej bezpośrednie i bezpretensjonalne. To nic, że „Wicher" nie ma dobrego tempa. Właściciel rozkosznego źrebaka, a potem mądrego i czującego konia, jest tak rozkochany w swym wychowanku, że usprawiedliwia to w zupełności jego przydługie o nim opowiadanie.

„W Karpatach" jest mnóstwo niedźwiedzi, dzików i rysiów. W człowieku budzi się pierwotna żądza krwi. Idą do walki, jak równy z równym: człowiek i górski drapieżnik. A ile uroku mają noce spędzone na „podchodzeniu". Styl Burzyńskiego staranny i wykończony znamionuje starszą generację pisarzy i tem lepiej odtwarza epokę, w której jedynym sportem było polowanie. Opowiadania miłe i proste niewątpliwie u starych myśliwych wywołają westchnienie za dawnemi, dobremi czasy, kiedy wilki i niedźwiedzie napadały na osady ludzkie, a polowanie na grubego zwierza można było urządzić o kilka staj od własnego, wygodnego domu.

Powiązanie bezpośredniości z dobrą formą literacką daje dopiero Jalu Kurek w opowiadaniu o wyprawie na Mont Everest. To jest wysoka już klasa poetycka. Wyraźna rzeźba słowa, ciekawe zestawienia, nowe traktowanie tematu, jakże inne od starych t. zw. książek podróżniczych, które tylko wielcy entuzjaści przygód strawiali w całości. Tutaj mamy skończone dzieło sztuki, w którem treść i forma nawzajem się uzupełniają. Jest coś suggestywnie jasnego w tym stylu prostym, ściśle złączonym z nastrojem potwornie białych dni i przerażająco ciemnych nocy na zlodowaciałych zboczach „szczytu świata".

Każde z tych opowiadań, bez względu na różnice w treści i formie, cechuje ta sama radość życia w czynie. Motto, którem opatrzył Jalu Kurek swoje opowiadanie, może objąć cały cykl „Pięciu na Olimpjadę": — „Poświęcam ten opis człowieczych zmagań młodemu pokoleniu, oddalającemu się od literatury, aby poznało wartość wielkich czynów".

MALARZ MIESZCZAŃSTWA WARSZAWSKIEGO

Wystawa w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie





AUTOPORTRET — STANISŁAW LENTZ — ŁOWICZANKI

Stanisław Lentz przeżył najbogatszy okres malarstwa polskiego, był świadkiem i mimowolnym uczestnikiem urodzin, rozkwitu i przekwitania polskiego impresjonizmu. I w tej najświetniejszej erze plastyki polskiej twórczość St. Lentza ma osobną kartę i szczególne znaczenie.

Nie była ona burzycielską, nie wprowadzała nowych pojęć, ale dawne rozwijała świetnie i utrzymywała ciągłość wielkich epok malarskich. Tem, czem Franz Hals był dla Haarlemu, Velasquez dla dworu Habsburgów, Menzel dla Berlina a Rodakowski dla galicyjskiej szlachty, tem stał się Stanisław Lentz dla mieszczaństwa warszawskiego.

Dama znalazła swego malarza i to malarza, który nie lubił prawić słodkości, ale po męsku, niemal opryskliwie ukazywał wizerunek człowieka dobrze zagospodarowanego i uginającego się pod ciężarem powszechnego poważania.

Poprzez Monachjum i romantyczną sztukę niemiecką dotarł St. Lentz do Holendrów, do ojczyzny mieszczańskiej swobody i rubaszności patrycjatu, który być może, miał te same zamiłowania, co Medyceusze, ale o jedną oktawę niższe upodobania estetyczne.

Warszawa, orędowniczka wielkiego przemysłu i zdobywczyni wschodnich rynków, z nieporównaną obojętnością przechodziła obok rodzimych twórców malarstwa i rzeźby, nie dowierzając nawet wieściom z zagranicy o polskich powodzeniach artystycznych.

A niewiarę w wartość polskiej sztuki z niezwykłą umiejętnością podtrzymywała warszawska krytyka, niemal identycznie tak samo, jak dzisiaj to czyni w odniesieniu do polskiej twórczości dramatycznej.

Podczas, gdy w Polsce wrzał bój



STANISŁAW LENTZ — WINO, KOBIETA I MUZYKA

o nowe idee w sztuce, który rozpoczęli impresjoniści, Lentz trzymał się na uboczu, nie mieszał do walki, stawiając sobie za cel utrwalenie na płótnach mieszczańskiej Warszawy, jej zalet, nałogów i snobizmu oraz jej ludzi tak, jak żyli współcześnie, w bogactwie swych cnót i śmieszności. I owóż rośnie chwalba i wytryska złośliwość, jawią się na płótnach czcigodne postacie, owiane prawdą życia i czynu, przesuwają się typy z małpiego zwierciadła, aż do znaczenia symbolu wyolbrzymiającego swą szkaradę i jałową przyziemność.

Wartości wewnętrznych szukał Lentz w człowieku, nie wystarczał mu model, pojęty jako zwój muskułów i szat, ale dobierał się do wnętrza ludzkiej jaźni, tak jak to zwykł był czynić artysta, któremu zależy na wszechstronnem ujęciu portretowanego człowieka. A że czasem wychodził poza zwyczajną charakterystykę postaci, że pod pozorem portretu malował nietylko karykatury, ale i symbole żywiołów, że ironizował i brutalizował nie chcąc mówić o człowieku, ale o sile w nim płonącej, tem głębsza zasługa i wartość jego sztuki.

Ponad prawdą jednak, nieomal dokumentem historycznym swej epoki króluje w sztuce St. Lentza radość i pogoda życia, urok siły i krzepkości, czar zdrowych i bujnych instynktów, których nie znało współczesne mu malarstwo, ograniczając się niemal wyłącznie do kopjowania, mrugnięć świetlnych i barwnych wrażeń. Przeto, gdy lwia część artystów ogłaszała harmonję i barwę obrazu za najwyższy wyraz sztuki, Lentz z niemniejszym zapałem głosił barwę i harmonję życia.

I w tej symfonji był niedościgniony i sam jeden.

Witołd Bunikiewicz

ŚWIAT TEATRU

Warszawskie Teatry Miejskie

W Narodowym *„Most"* stał się wydarzeniem dnia i święci rzetelne tryumfy artystyczne. Cała bez wyjątku krytyka stołeczna przyjęła nową sztukę Szaniawskiego wielkiemi pochwałami; publiczność — wręcz entuzjastycznie. Następną premjerą będzie jedna z najgłośniejszych sztuk dawnego repertuaru, niegrany w Warszawie od lat 40-tu, słynny *„Kean"* Dumasa (ojca) w nowem opracowaniu dra Józefa Brodzkiego z Józefem Węgrzynem w roli tytułowej w inscenizacji Karola Borowskiego.

Teatr Nowy po stu bez mała przedstawieniach rekordowej „Mademoiselle" Deval'a (przeniesionej teraz na przedstawienia popołudniowe do Letniego), po nader udatnem wznowieniu klasycznego „Skąpca" z genialnym Harpagonem — Solskim, oddała z kolei afisz popularnemu autorowi „Świtu, dnia i nocy" Niccodemiemu. Jego głośny na scenach całego świata, u nas dotychczas nie wystawiany *„Cień"* jest jednocześnie terenem wielkiego popisu dla aktorki, kreującej główną rolę kobiecą. W ojczyźnie autora gra ją Emma Grammatica, w Niemczech — Tilly Durieux, u nas — Marja Malicka.

W Teatrze Letnim *„Uśmiech hrabiny"* Stefana Krzywoszewskiego wśród powszechnego zadowolenia, dużej frekwencji i wesołości dobiega do dwudziestego piątego przedstawienia i nie myśli prędko opuszczać „kochanej drewnianej budy" w Ogrodzie Saskim. Korzystając z konjunktury powodzeniowej, skrzętny gospodarz, dyrektor Emil Chaberski szykuje dwie sztuki jednocześnie: najnowszą komedję Brunona Winawera *„Smaczny chleb kłamstwa"* oraz głośną przed 30-tu laty komedję Zygmunta Kaweckiego *„Dramat Kaliny"*.

Kryzys w „Zaspie"

Związek Artystów Scen Polskich, który od lat kilkunastu opanował zupełnie polskie życie teatralne, jako instytucja monopolizująca dawanie zezwoleń na pracę sceniczną, przeżywa obecnie ciężki kryzys wewnętrzny. Niefortunna impreza Teatru Artystów, zlikwidowanego już definitywnie, stała się ostatnią kroplą, która przepełniła miarę przeróżnych konfliktów, powikłań i nadużyć.

Z niepojętą lekkomyślnością zaangażowano w wadliwie od początku zorganizowanym teatrze przy ul. Karowej cały majątek Zaspu, naruszając fundusze społeczne, powstałe ze składek publicznych na pomnik Bogusławskiego, na Dom Aktora i na schronisko dla weteranów sceny w Skolimowie.

Obecnie Zasp rozwiązał umowę z właścicielami gmachu przy ul. Karowej, uzyskując zwrot pakietu weksli.

Straty Zaspu wynosić będą około 200.000 złotych. Pierwotnie groziła Związkowi strata prawie pół miljonowa, albowiem na 1 stycznia 1933 r. Teatr Artystów winien był Zaspowi 477.000 złotych.

W międzyczasie Komisarjat Rządu przeprowadził lustrację ksiąg buchalteryjnych Zaspu i, po stwierdzeniu cech sprzeniewierzenia, skierował sprawę przeciw b dyrektorowi biura Zaspu a zarazem generalnemu intendentowi „Teatru Artystów", p. Janowi Pawłowskiemu do prokuratora.

Krążą wieści, że te dochodzenia karne mają być rozszerzone na kilka innych osób, odgrywających wybitne role na terenie Zaspu.

P. Jan Pawłowski został już zresztą uprzednio zawieszony w prawach członka Zaspu za „działanie na szkodę" instytucji oraz skreślony za nieopłacanie składek w ciągu dwu lat.

Sprawa ta wywołała silne poruszenie nietylko w sferach aktorskich, ale wśród szerokich mas społeczeństwa, interesujących się teatrem.

Zdaje się, że cała polityka i organizacja Zaspu będzie poddana szczegółowej i zasadniczej rewizji.

J. M.

Komedja z „Dramatem Kaliny"

W bieżącym roku (teatralnym) przypada 30-lecie wystawienia na scenach polskich — przedewszystkiem we Lwowie, potem wkrótce w Krakowie — komedji Zygmunta Kaweckiego „Dramat Kaliny", która następnie obiegła wszystkie sceny polskie, grana ogółem setki razy i niejednokrotnie w ciągu tych lat trzydziestu wznawiana.

I oto teraz, gdy podejmując inicjatywę warszawskich b. teatrów miejskich (sztuka jest w próbach w Teatrze Letnim), wznawiają tę komedję wszystkie teatry polskie — wystawił ją również i Krakowski Teatr im. Słowackiego. Ale, o dziwo — pod zmienionym tytułem! Dlaczego? Podobno dlatego, że obawiano się, czy dzisiejsza publiczność przyjdzie do teatru, zobaczywszy na afiszu wielkiemi literami wypisane słowo: „Dramat"? Więc zmieniono je na mniej odstraszające: „Teatr"... „Teatr Kaliny" nazywa się w Krakowie sztuka Kaweckiego!

Nieprawdopodobne? A jednak — najzupełniej prawdziwe!

Czysta komedja z „Dramatem Kaliny"!

Ale — smutna komedja. Nie ta Kaweckiego, bo ta jest wesoła. Smutna jest ta krakowska komedja z afiszem...

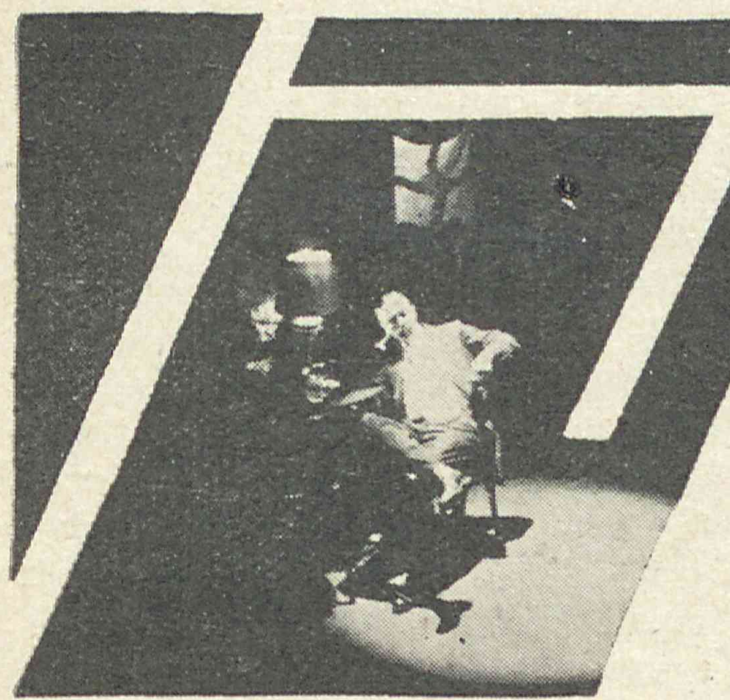
W kilku wierszach

W Paryżu zmarł na udar sercowy — w 59-ym roku życia — znany krytyk teatralny i dziennikarz paryski, Gaston de Pawlowski, jeden z założycieli i przez szereg lat redaktor naczelny poczytnego paryskiego dziennika teatralnego *„Comoedia"*. Zmarły pochodził z polskiej rodziny emigracyjnej (ojciec Jego, Albert — zapewne Wojciech — był wybitnym inżynierem francuskim), lecz urodził się we Francji i wychowywany był w duchu i języku francuskim. (Możebne, że już dziad Pawłowskiego wyemigrował do Francji i ojciec Gastona urodził się francuzem).

Gaston de Pawlowski ceniony był w kołach literackich i artystycznych Paryża bardzo wysoko, zarówno jako jeden z najwybitniejszych krytyków i znawców teatru, jak i autor szeregu dzieł z zakresu beletrystyki, essay'u, filozofji, publicystyki, nawet — sportu. Nazywano go też jednym z „ostatnich encyklopedystów".

*

„Anioł wśród nas". Taki tytuł nosi najnowszy utwór dramatyczny znanego czeskiego dramaturga Franciszka Langera (u nas grano jego komedję „Wielbłąd przez ucho igielne" oraz melodramat „Przedmieście" — *Periferie*). Premjera nowej sztuki odbyła się niedawno na scenie Teatru Kameralnego *(Kammerspiele)* w Berlinie pod dyrekcją i w reżyserji Beera. Krytyka przyjęła „Anioła" życzliwie, ale chłodno; publiczność podobno trochę cieplej. Mimo to gościł on bardzo krótko wśród berlińczyków.



TEATR IWO GALLA

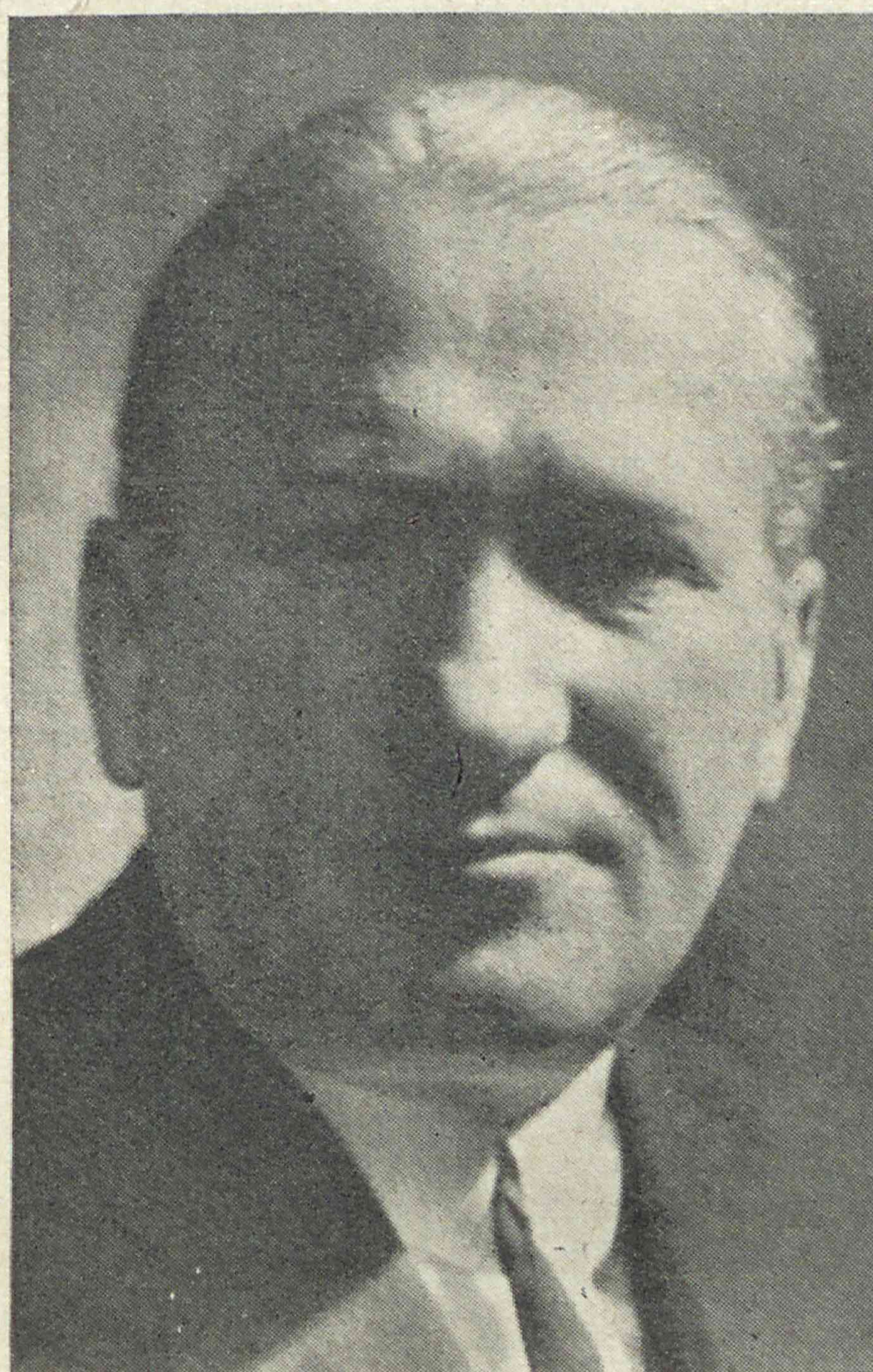
Stoi sobie w Częstochowie, na jednej z mało uczęszczanych ulic miasta, wielopiętrowy olbrzym o krwawiących cegłą nagich nieotynkowanych murach i pustych oczodołach dziur okiennych — tragiczny, bezużyteczny, ogromny teatr, zakrojony planem budowy na miarę wielkich teatrów którejś z europejskich stolic. Stoi sobie ten nieukończony teatr, odwrócony tyłem do miasta, jakgdyby się wstydził swych lekkomyślnych ojców, którzy dali mu życie, nie dając możliwości istnienia.

Projekt wybudowania teatru w Częstochowie powstał za niedawnych jeszcze, dobrych czasów ogólnej konjunktury. Ambitni inicjatorzy w zapale szlachetnej myśli wybiegli wówczas daleko poza granice rzeczywistości i realnych potrzeb kulturalnych miasta. Z inicjatywy ówczesnego starosty p. Kühna zebrano olbrzymi fundusz paruset tysięcy złotych. W pośpiechu tworzenia zapewne umieszczono ów teatr w złym punkcie, tyłem do głównej arterji. Potem przyszedł kryzys, przeszedł zapał ofiarodawców, pozostał nieukończony gmach i zagadnienie: co z nim zrobić? Wydano więc kilkaset tysięcy złotych, pozostały długi i nieskończona budowa, jako symbol zatraty poczucia rzeczywistości.

Rezultat istotnie niewesoły. Dzięki troskliwej opiece komisarza rządu p. J. Mazura i Tow. Przyjaciół Teatru zdołano wreszcie małą salę na parterze olbrzymiego teatru jako tako wykończyć i oddać do użytku. W ten sposób z wielkich zamierzeń urodziła się mała sala „Teatru Kameralnego" w Częstochowie.

Ale Bóg czuwa nad lekkomyślnymi! Zjawił się w Częstochowie *Iwo Gall*, syn znakomitego kompozytora Jana, człowiek o ogromnej indywidualności artystycznej, fachowiec w dziedzinie nowego, współczesnego teatru, do niedawna współpracownik Osterwy w Reducie i Jaracza w Ateneum. Zapisał się on w całej Polsce szeregiem inscenizacji, będących pomostem między starym teatrem rutyny a nową sztuką.

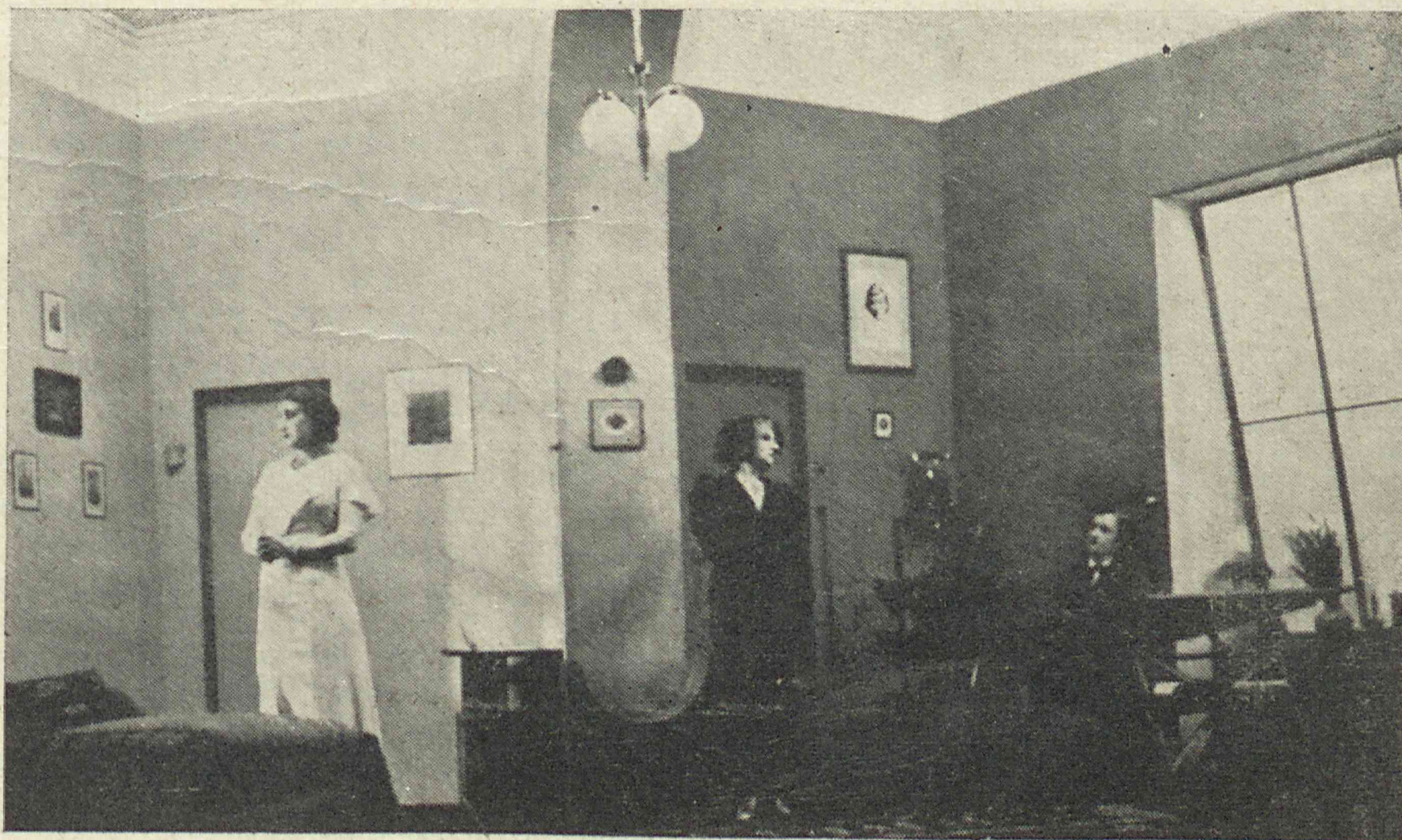
Złoty okres działalności reżyserskiej Galla przypada na czasy Reduty. Przy boku Osterwy, jako współtwórca i kierownik artystyczny, wystawia wówczas „cuda" niewidziane dotychczas w Polsce. W Wilnie przerabia według własnych projektów gmach teatru na Pohulance. Z tych czasów pozostają w pamięci całego kraju



IWO GALL

jego inscenizacje sztuk „Wesele", „Wyzwolenie", „Sędziowie", „Eros i Psyche", „Zaczarowane Koło" i cały szereg arcydzieł polskiej literatury.

„Książę Niezłomny", grany w inscenizacji Galla z górą 120 razy we wszystkich większych środowiskach Polski, na wolnem powietrzu, predestynuje go na reżysera i inscenizatora teatru misterjów i widowisk pasyjnych. Dlatego właśnie Gall wybrał Częstochowę na laboratorjum swej pracy artystycznej. Miasto to — jak żadne inne w Polsce — posiada wszystkie warunki do stworzenia trwałego teatru widowisk o charakterze passyjnym i misterjów. — Istniejący tam ruch turystyczno-pątniczy (bezsprzecznie najsilniejszy w Polsce) wymaga stworzenia teatru dla mas, na wolnem powietrzu, teatru, któryby pomieścił dziesiątki tysięcy tłumów pątniczych, przybywających w sezonie letnim na Jasną Górę, i dał tym pielgrzymom z wszystkich dzielnic Polski widowisko godne widzenia i pamięci. Klasztor OO. Paulinów, dbały o dobrą strawę duchową pątników, napewno nie poskąpiłby poparcia inicjatywie Galla, tem więcej, że jest on jedynym prawdopodobnie człowiekiem w Polsce, którego indywidualność artystyczna i fachowa, studja prowadzone od lat nad tą specyficzną kategorją teatru, oraz wyniki dotychczasowych prac w dziedzinie tworzenia misterjów dają rękojmię artystycznego wykonania zamierzonego programu. Jest to ciekawy rodzaj sztuki dramatycznej, mało u nas znanej, jakkolwiek literatura polska posiada bogaty materjał, nadający się świetnie do tego rodzaju widowisk. Rzecz jasna, że bez pomocy finansowej ze strony rządu i zaintereso-



„SPRAWA MONIKI" W TEATRZE GALLA. W ROLI MONIKI P. CERANKA-POZNAŃSKA

wanych czynników miejscowych trudno będzie Gallowi zrealizować swe zamiary. Nie należy jednak wątpić, że mu się to uda przeprowadzić. Gall poza sztuką swą jest także realnym człowiekiem i dobrym organizatorem.

W sezonie zimowym teatr Iwo Galla, pracując usilnie z zespołem małym, ale zgranym i świadomym swych celów, musi „jechać premjerami", aby utrwalić stałe zainteresowanie niezbyt dużej ilości publiczności swym teatrem. Udało nam się widzieć zaledwie dwie sztuki w tym teatrze: „Sprawę Moniki" i „Esterę, żonę Rapaporta", sztukę żydowską, po raz pierwszy graną w Polsce. — Oba widowiska dają dostateczny obraz całokształtu działalności teatru. Inscenizacja świetna, gra subtelna i inteligentna. Zespół aktorski przypomina najlepsze czasy dawnej „Reduty". Ogromny umiar, każdy szczegół wystudjowany. Najważniejszą cechą zespołu jest jego istotne zespolenie się w jednolitą zupełnie całość artystyczną. Dlatego też trudno wymieniać poszczególnych artystów, trzebaby wówczas dla sprawiedliwości poprostu przepisać cały afisz.

Wystawiono dotychczas w sezonie zimowym kilkanaście sztuk, w tem „Sędziów", „Pana Jowialskiego", „Różę" (fragmentarycznie), „Życie jest skomplikowane" i t. d. Okres zimowy pozwoli Gallowi zaaklimatyzować się w Częstochowie i zżyć z publicznością.

Z wiosną zapewne przystąpi do realizacji teatru na wolnej przestrzeni, mając do dyspozycji najpiękniejszą dekorację w Polsce: mury Jasnogórskie i Klasztor.

Jelaud.

Z MUZYKI

Paweł Kochański w Ameryce

Dnia 17 stycznia r. b. odbył się w Carnegie Hall w Nowym Jorku, wobec wyprzedanej sali, koncert Pawła Kochańskiego, na którym wykonał on Sonaty: Bacha, Brahmsa i Debussy'iego, oraz kompozycje Szymanowskiego, de Falla i Ravela.

Po koncercie wpływowy miesięcznik amerykański „Vanity Fair" zamieścił pod fotografją naszego skrzypka następującą notatkę:

„Zaliczamy Pawła Kochańskiego do najsławniejszych ludzi na firmamencie artystycznym Ameryki, ponieważ: jest jednym z najwybitniejszych skrzypków i odtwórcą — mistrzem współczesnych, najbardziej krańcowych modernistów; ponieważ: jest zapalonym zbieraczem i badaczem rzadkich rękopisów muzycznych — sam opracował na skrzypce wiele świetnych utworów; ponieważ: tacy ludzie, jak



Strawiński i Milhaud dedykują mu swoje kompozycje; ponieważ: bezustannie zapoznaje świat z muzyką swego ojczystego kraju — Polski i wreszcie, ponieważ: jest pierwszorzędnym sportsmenem, który nie pozwala, by korona sławy zbytnio ciążyła mu na głowie".

Kronika muzyczna

24 lutego r. b. upływa setna rocznica istnienia Teatru Wielkiego w Warszawie. Na pierwszem przedstawieniu operowem wystawiony był „Cyrulik Sewilski" Rossiniego. Z tego powodu dyrekcja opery daje 24-ego lutego r. b. „Cyrulika" w nowej inscenizacji i reżyserji.

Informowaliśmy czytelników, w jednej z poprzednich kronik, o zakwalifikowaniu przez Sekcję Polską Międzynarodowego Tow. Muzyki współczesnej 18 kompozycyj polskich do mającego odbyć się w czerwcu Festivalu Muzyki Współczesnej. Jury Festivalu wybrało z nich kompozycję Józefa Kofflera, p. t. „15 warjacji szeregu 12 tonów na orkiestrę smyczkową". Dzieło to poświęcone jest Arnoldowi Schönbergowi i zostanie wykonane publicznie w Amsterdamie w czasie Festivalu.

Królewska Akademja Muzyczna św. Cecylji w Rzymie mianowała Karola Szymanowskiego swym członkiem honorowym.

12 b. m. rozpoczną się w Lipsku uroczystości z okazji 50-lecia śmierci R. Wagnera, w których wezmą udział przedstawiciele muzyki, literatury i sztuki z całej Europy. Rada m. Lipska wystosowała zaproszenia m. in. do K. Szymanowskiego, L. Różyckiego, F. Goetla o wzięcie udziału w obchodzie.

Znany kompozytor włoski O. Respighi ukończył nową operę zatytułowaną „Fiamma", osnutą na tle życia Ravenny z końca VII stulecia.

Między wschodem i zachodem

Po stuletnim współżyciu przymusowym z naszym obecnym sąsiadem wschodnim, nie zdążyliśmy w lat czternaście wyprać doszczętnie naszych zwyczajów i przyzwyczajeń z obcych naleciałości. Nie zdążyliśmy dotychczas, to nie oznacza wcale, abyśmy nie zdołali tego dobrego dzieła dokonać już w najbliższych latach. Najważniejszym w tej pracy momentem jest sprawa uświadomienia sobie tych obcych naleciałości. Jest to zarazem najtrudniejsze. Kto więc — naprzykład — zdaje sobie sprawę, że papierosy o bibułce glicerynowanej lub parafinowanej (przezroczystej) są naleciałością, że cała Europa, Ameryka pali wyłącznie papierosy o bibułce samospalającej się?

A tak jest w rzeczywistości. Mużik, czy czynownik rosyjski lubił emocje bardzo wyraziste. Nie pił więc paru kieliszków wódki, a zaraz całą butelkę, nie palił papierosów zachodnio-europejskich o bibułce samospalającej się, a papierosy własnego typu, bo domieszka dymu z papieru do dymu tytoniowego dawała mu ostry smak równoległy do mocnej wódki. Krzywda dla płuc? Drobiazg, oni na te rzeczy nie zważali, ponieważ zawsze materjału ludzkiego mieli pod dostatkiem. A różnica jest rzeczywiście ogromna. Proszę tylko zauważyć, jak się jeden i drugi typ papierosa pali. Jeżeli odłożymy na popielniczkę papierosa o bibułce samospalającej się, to zauważymy, że bibułka o wiele prędzej spala się aniżeli tytoń! Tytoń jeszcze się żarzy, a już dym z bibułki ulatnia się wąską smugą nazewnątrz papierosa. To też gdy palacz pociągnie haust dymu, ciągnie do płuc czysty dym tytoniowy. Całkiem inaczej przedstawia się sprawa, gdy palimy papierosa o bibułce glicerynowanej vel parafinowanej. Tutaj bibułka spala się znacznie później aniżeli tytoń. Widzimy to po kawałkach spalonej bibułki, powiewających przy końcu papierosa. Ponieważ bibułka ta spala się wolno, więc dopiero siła płuc palacza przyczynia się do podtrzymania jej żarzenia. Oczywiście w tych warunkach palacz ciągnie do płuc oprócz dymu tytoniowego także produkty spalania się papieru. Co gorsza, opóźniająca się w procesie spalania się bibułka, odgrywa rolę filtru, zatrzymującego nikotynę z tytoniu. Łatwo bardzo się o tem przekonać, gdy zapalimy powtórnie niedopałek. Gorzki, nieprzyjemny smak potwierdzi nam obecność nikotyny. Jak widzimy więc, nietrzeba wcale wahać się w wyborze między wschodem i zachodem.

S. K.

Muzyka polska u obcych



Prof. WŁADYSŁAW BURKATH, ceniony pianista i kompozytor, koncertował ostatnio w Bratislavie, Morawskiej Ostrawie i innych większych miastach Czechosłowacji, grając wyłącznie polskie utwory. Zarówno publiczność, jak i prasa gorąco witały polskiego wirtuoza.

FILM SĄDOWY

SĄSIADKI

W sali sądowej gorąco, duszno i nudno. Apatja i senność rozpostarły swe skrzydła nad różnobarwną publicznością, zajmującą dwa rzędy ławek, nad sędzią i nad sekretarzem, bez przerwy wertującym i notującym coś w aktach.

Życie i ruch reprezentuje jedynie woźny, który uwija się pomiędzy publicznością, coś komuś wyjaśnia, coś komuś tłumaczy, przestrzega porządku, przywołuje świadków i wskazuje miejsca.

Sędzia doręcza sekretarzowi akta dopiero co rozpatrzonej sprawy i otwiera akta następnej sprawy.

— Katarzyna Pazur, Aniela Pedałowska — czyta sędzia sennym głosem.

— Katarzyna Pazur i Aniela Pedałowska! — woła woźny, rozglądając się po sali.

Z pośród publiczności wstają dwie niewiasty i niezdecydowanym krokiem podchodzą do stołu sędziowskiego.

Z podanych generaljów sąd dowiaduje się, że Pazur jest pracownicą domową „do wszystkiego" u państwa X., właścicieli jatki, a Pedałowska jest pianistką i członkiem zespołu muzycznego, produkującego się w jednej z restauracyj II-go rzędu w śródmieściu.

Sędzia: Czy Katarzyna Pazur przyznaje się, że dnia 3 października ubiegłego roku rzuciła przez otwarte okno do mieszkania powódki kawał drzewa, czem spowodowała uszkodzenie ciała.

Oskarżona: Proszę wielebnego sądu, czy to było 3 października — nie powiem, ale to był piątek, bo gotowałam postny obiad, grzybową zupę, naleśniki z serem i „komput", a co się tyczy ciała, to proszę wielebnego sądu tylko popatrzeć. Skóra i kości, ta pani we wogóle ciała nie ma.

Sędzia: Proszę nie robić żadnych uwag, tylko odpowiadać na pytania. Dlaczego oskarżona rzuciła drzewem ze swego okna do pokoju powódki?

Oskarżona: Sumiennie powiem, jak na świętej spowiedzi. Chciałam tylko plunąć na nią, ale nie sięgłam. A co się tyczy dlaczego, to niech pan sędzia przyjdzie do mnie do kuchni i posiedzi dziesięć minut, to zobaczy, czy można wytrzymać. Od rana do wieczora gra i gra, że głowa może pęknąć. Wszystkie lokatory zaświadczą. Nie chciałam rzucić w tę panią, tylko w fortepian, ale źle trafiłam.

Powódka: Proszę szanownego i wysokiego sądu, to wcale nie jest fortepian, tylko pianino. Ta mało inteligentna osoba we wszystkiem kłamie, co mówi.

Oskarżona: O, „osoba"! Sama pani jest osoba.

Sędzia: Proszę tu nie wszczynać kłótni! Niech powódka opowie, jak to było.

Powódka: Proszę kochanego pana...

Sędzia: Proszę odpowiednio się wyrażać!

Powódka: Proszę wielmożnego sądu. Było to tak. Zasiadłam rano do pianina, aby przegrać nowy numer przebojowy.

Sędzia: Co to znaczy numer?

Powódka: No, kawałek nowy. Pan sędzia pewno zna: (nuci) „Tyś jest moim ideałem"...

Sędzia: Proszę tu nie urządzać przedstawienia!

Oskarżona: Wcale nie to grała. Bo to ja znam, a tamtego wcale nie znałam.

Sędzia: Oskarżona nie ma głosu.

Oskarżona: Ładniej śpiewam od tej pani.

Sędzia: Ale proszę nie przerywać... Więc jak to było?

Powódka: Jak tylko zaczęłam grać, to ta osoba „do wszystkiego"...

Sędzia: Proszę mówić: Katarzyna Pazur albo oskarżona.

Powódka: ...to Katarzyna Pazur albo oskarżona zaczęła śpiewać jakiś głupi walczyk...

Oskarżona: (przerywając) To wcale nie był walczyk, tylko foxtrott.

Sędzia: Proszę o spokój!

Powódka: Więc ja jej przez okno powiadam: „Proszę nie śpiewać, bo to mi przeszkadza. Proszę zająć się pieczenią, żeby się nie przypaliła". A ona mi na to: „Nos w sos, niech pani lepiej nie rozbija fortepianu tym foxtrottem". To ja jej powiadam, że to wcale nie foxtrott tylko tango i nawet dodałam, że takiego to, a takiego kompozytora. A ona na to: „On mnie może... i pani mnie może... i wszyscy mnie mogą..."

Oskarżona: Nieprawda, „wszyscy" nie powiedziałam.

Powódka: Właśnie że powiedziała. I to mnie oburzyło najwięcej. Bo jeżeli „wszyscy", to znaczy, że i pan sędzia...

Sędzia: Proszę mojej osoby nie wciągać do zeznania.

Powódka: To wtedy oburzona do najwyższego stopnia, zawołałam „parzygnat", a ona cisnęła we mnie szczapą.

Oskarżona: O, o, szczapa! Panie sędzio wielebny, to był wiórek. Skąd szczapa, czy ja w kuchni trzymam szczapy?

Powódka: Ja nie wiem skąd; może przyniósł ten kapral, co tam dniami i nocami przesiaduje.

Sędzia: Dosyć. Sprawa wyjaśniona dostatecznie.

Wobec obustronnych obelg, sędzia umarza sprawę, doradzając stronom, aby grały i śpiewały przy zamkniętych oknach.

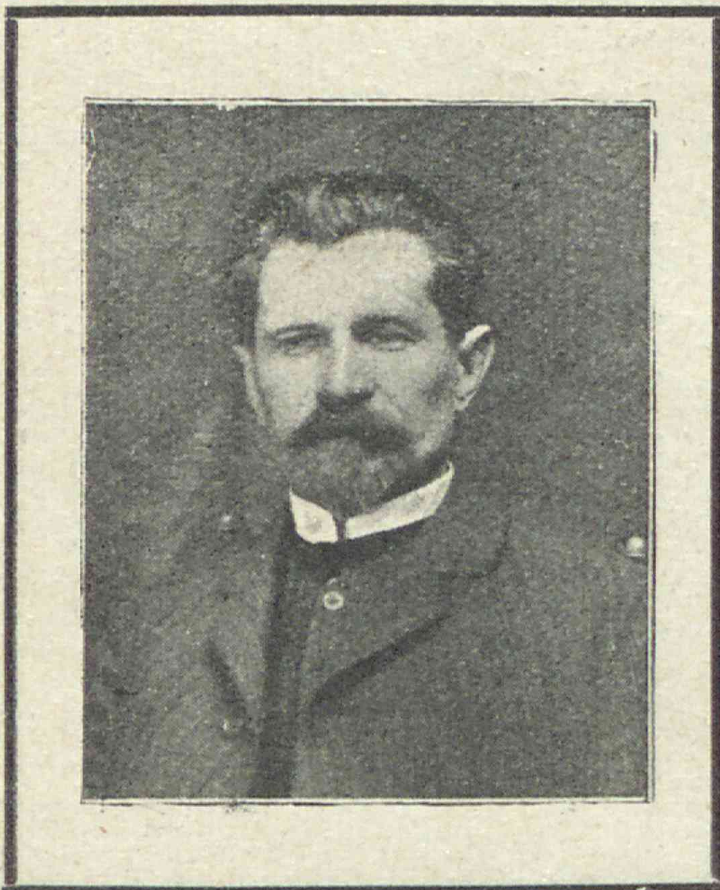
Termidor

CI, CO ODESZLI

† Ignacy Oksza-Grabowski

Zmarł w zapomnieniu. Sam tego zapewne chciał: dobrowolnie odsunął się od życia i ludzi, poświęcając się w swej podwarszawskiej samotni dociekaniom religijno-filozoficznym, którym od czasu do czasu dawał wyraz w artykułach. Pracę literacką zarzucił dość dawno, prawie od czasu wojny.

A był okres w życiu Warszawy, kiedy „Pamiętnik Rupiecia", drukowany w „Kurjerze Warszawskim", budził bardzo żywe zainteresowanie, wywoływał komentarze i polemiki. Nowele Grabowskiego były chętnie czytane. Najwięcej rozgłosu dał mu dramat poetycki „Sokół", nagrodzony na konkursie pierwszą nagrodą. W realizacji scenicznej nie ziścił pokładanych w nim nadziei. Grabowski napisał jeszcze drugi historyczny dramat o Stanisławie Auguście.



Ś. P. IGNACY OKSZA-GRABOWSKI

Z zawodu Grabowski był ziemianinem i literaturę traktował cokolwiek dorywczo. Odczuwało się to w jego utworach. Temperament ognisty i kapryśny poniósł go w wir walk politycznych. Nie zawsze potrafił w nich zachować równowagę, zawsze budził szacunek dla swej szczerości, dla uczciwości swoich uczuć i zamierzeń. Tkwiła w nim ıogata dusza szlachcica, skorego raczej do korda, niż do szklanki. Szlachcicem był w każdym calu.

sk.



† Tadeusz Żuk-Skarszewski

W Krakowie, po długich cierpieniach, zmarł w późnym wieku ś. p. Tadeusz Żuk-Skarszewski, jeden z wybitniejszych publicystów i dziennikarzy z przed trzydziestu lat, wykwintny powieściopisarz i nowelista. Umysł to był żywy i bystry, wiedza ogromna, uczciwość, poczucie honoru i godności zawodowej — niezmierne. Przynosił pod każdym względem zaszczyt dziennikarstwu polskiemu. Był przez szereg lat sekretarzem redakcji „Kraju" petersburskiego, potem — wieloletnim jego współpracownikiem. Gdy opuścił Petersburg, osiedlił się na stałe w ukochanym Krakowie i tutaj spędził ostatnie dziesiątki lat, rozmiłowany w pięknościach i skarbach starego grodu.

Ś. p. Tadeusz Żuk-Skarszewski w dawnych latach zasilał nierzadko „Świat" swojem piórem. Z tem większym żalem żegnamy szlachetnego obywatela i znakomitego dziennikarza.

Ś. p. z Szydzińskich Marja Uleyska

Dn. 29 stycznia 1933 r. zgasła w kwiecie wieku ś. p. Marja Uleyska, córka znanego lekarza-dentysty, małżonka inż. ar-



Ś. P. MARJA ULEYSKA

chitekta. Zmarła, posiadając wyższe studja handlowe, niosła wybitną pomoc w trudnej i odpowiedzialnej pracy swego męża. Na tak przedwczesny zgon wpłynęły pobudki moralne, wynikające z rozpaczy po stracie dwojga dzieci, umierających wkrótce po przyjściu na świat. Serce Jej macierzyńskie nie mogło przenieść tych bolesnych ciosów, i przestało bić w zaraniu życia.

Księga pamiątkowa Wandy Siemaszkowej

Na jesieni roku zeszłego Lwów uroczyście obchodził 45-lecie pracy scenicznej znakomitej tragiczki, Wandy Siemaszkowej. Z okazji tej komitet obchodu wydał księgę pamiątkową, poświęconą artystce.

Rozpoczyna księgę piękny wiersz Henryka Zbierzchowskiego, obrazujący kruchość sławy aktorskiej i uzasadniający chęć utrwalenia jej dla pokoleń:

„A gdy Twój talent był jak zawierucha,
Chcemy, by chociaż przez tę książkę [skromną
Zostało wszystkim coś z Twojego ducha,
Gdy o aktorce już ludzie zapomną".

Obszerny życiorys jubilatki daje Józef Jedlicz, ze wzruszającą prostotą i bezpretensjonalnością dzieli się swojemi wspomnieniami Wanda Siemaszkowa, z kolei składają jej hołd, dając artystyczną syntezę artystki: Władysław Kozicki, Zbierzchowski, Solski, Kleiner, Wasilewski, Osterwa, Bukowski, Brończyk, Grekowicz i inni. Stefan Krzywoszewski drukuje krótkie wspomnienie o Siemaszkowej, jako bohaterce swojej komedji „Tęcza", granej w Rozmaitościach w 1904 r.

Bardzo ciekawy artykuł o występach Siemaszkowej zagranicą, a głównie w Ameryce, zamieszcza Henryk Cepnik, podkreślając ofiarną pracę jubilatki w krzewieniu słowa polskiego na obczyźnie, która wiele więcej dobrego zrobiła od oficjalnej propagandy.

Wydawnictwo, wydane na kredowym papierze, zdobi kilkadziesiąt ilustracji z życia scenicznego i prywatnego artystki. Księga pamiątkowa, niezależnie od swego jubileuszowego charakteru, jest cennym dorobkiem naszej szczupłej stosunkowo literatury teatrologicznej.

J. S. W.

Szczęście dyrektora Hollera

(NOWELKA)

— Jakiś pan pragnie mówić z panem dyrektorem...

Szef znanego koncernu przemysłowego podniósł wzrok; przeglądał właśnie ostatni numer „Gońca Handlowego".

— W jakiej sprawie?

— Zapewne klijent...

Dyrektor Holler podniósł się i pospieszył na górę do działu sprzedaży.

— Czem mogę służyć?

— Czy pan dyrektor Holler?

— Tak jest, do usług...

— Nazywam się Verdess; jestem ajentem firmy Erölly w Budapeszcie...

— Czy tego wielkiego domu handlowego?

— Tak jest; przypuszczam, że firma nasza jest panu znana...



Dyrektor Holler zgiął się w ukłonie:

— Już po raz drugi ponowiliśmy starania, aby wejść z panami w kontakt...

— Wiem o tem — odpowiedział Verdess. — No, może dziś uda się nam dojść do porozumienia.

— Mam zapotrzebowanie na artykuły na czasie: chodzi mi o numery katalogowe 2034, 759 i 3109.

Dyrektor Holler okazał próby żądanych towarów.

— Hm! Towar jest dobry, tylko cena zbyt wygórowana...

— Podałem panu najprzystępniejsze ceny...

— Niech pan jednak uwzględni, panie dyrektorze, że przy odbiorze towaru otrzymuje pan weksel, żyrowany przez *naszą firmę* — położył nacisk na dwu ostatnich słowach. Czy wolno mi uczynić panu pewną propozycję?

— Proszę pana, słucham...

— Kupuję 3.000 kompletów № 2034, 2.000 kompletów № 759 i 1.000 kompletów № 3109; każda sztuka tego ostatniego ma być długości 30 mtr. Według moich obliczeń, cena musi być o 6% niższa od tej, którą mi pan zaofiarował...

Dyrektor Holler zrobił wahającą minę.

— Tranzakcja przekracza sumę ½ miljona — ciągnął dalej Verdess — które zapłacimy panu w pięciu wekslach. Zaznaczam jednak, że towar musi być gotowy na godz. 8-mą wieczorem jutro, na północnym Dworcu Towarowym. Pozostawiam panu godzinę czasu do namysłu.

— To zbyteczne — pospieszył dyrektor Holler. — Zgadzam się na pańskie warunki.

Podpisano umowę i sam Holler czuwał nad ekspedycją towaru.

Gdy wszystko było skończone, dyrektor z zadowoleniem wracał do swego gabinetu.

— Wybaczy pan, jeśli przeszkadzam, — ozwał się nagle jakiś nieznajomy, idący za Hollerem. Dyrektor odwrócił się zdziwiony. — Czy mogę z panem porozmawiać na osobności?...

W kilka chwil później siedzieli obaj w kancelarji dyr. Hollera.

— Czem mogę panu służyć?

— Przedewszystkiem moje warunki: moje honorarjum jest niewielkie: chcę pana uchronić przed stratą; pan mi da 10% tej sumy, na której stratę jest pan narażony; wypłaci mi ją pan oczywiście po przekonaniu się o prawdziwości moich słów...

Jeżeli rzeczywiście ma mnie pan uchronić przed jakąś poważną stratą, to zgadzam się. Proszę, niech pan mówi...

— Pan sprzedał przed godziną towaru na sumę ½ miljona do Budapesztu, czy tak?

— Skąd pan o tem wie? Czy pana przysyła nasz Bank?

— Nie. Warunki tranzakcji również mi są znane...

Dyrektor Holler poruszył się niespokojnie w swym fotelu:

— Zdaje się, że nie przekroczyłem żadnego przepisu, zawierając tę tranzakcję; zresztą, wybaczy pan, czy to pana dotyczy? Przecież wszystko jest w porządku...

— Byłoby w porządku, gdyby Erölly z Budapesztu rzeczywiście zakupił towar. Ale im się nawet o tem nie śniło. Ajent jest najzwyklejszym oszustem; weksle są sfałszowane...

— To niemożliwe! — krzyknął Holler.

Może się pan łatwo przekonać: niech pan zatelefonuje do Budapesztu... Albo jeszcze lepiej: niech pan nada telefonogram — za pół godziny będzie pan miał odpowiedź...

W pół godziny nadeszła depesza: „Verdess nikomu nieznany. Żadnych poleceń zakupu nie wydano. Ajent jest oszustem. Kazać uwięzić. Podpisano: Erölly, Budapeszt".

Dyrektor Holler upuścił depeszę na podłogę:

— Uchronił nas pan od wielkiej straty. Oczywiście, za chwilę otrzyma pan umówione wynagrodzenie...

Następnego wieczora dyrektor Holler spacerował nerwowo po peronie dworca Północnego. W jednym z wagonów oczekiwali ukryci czterej tajni ajenci.

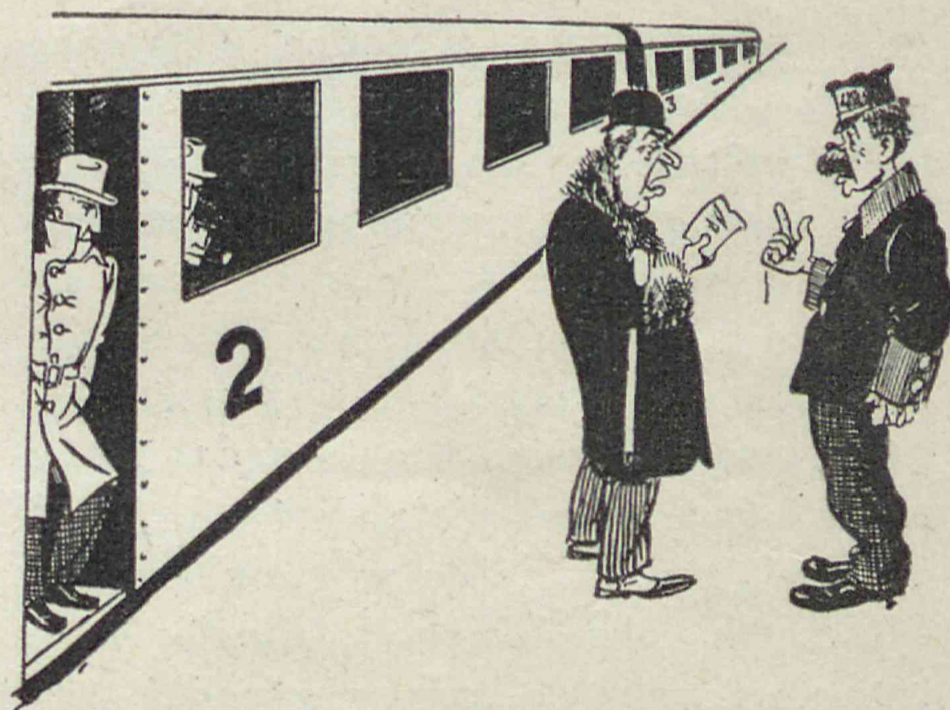
Dalekie kroki dały się słyszeć. Holler rozejrzał się i syknął w stronę agentów:

— Baczność!

Jakiś człowiek w ubraniu tragarza kolejowego zbliżył się doń:

— Czy pan dyrektor Holler?

— Tak, to ja...



— List do pana dyrektora...

Holler rozdarł kopertę drżącemi ze wzruszenia rękami:

„Wielce szanowny panie dyrektorze! — czytał. — Proszę mi wybaczyć, że nie zjawiam się osobiście, ale wiem, jak się sprawa przedstawia i nie mam najmniejszej chęci powędrować do kryminału. Zapewniam pana, że nie miałem zamiaru zaszkodzić mu ani „kupnem", ani fałszowanemi wekslami. Mam brata, znanego już panu detektywa, któremu chciałem wyświadczyć maleńką przysługę, co mi się zresztą w zupełności udało. Zarówno ja, jak i mój brat znajdujemy się w tej chwili daleko zagranicą, gdzie zawsze będziemy pana, kochany dyrektorze, z prawdziwą wdzięcznością wspominali. Oddany panu Gerinskij, alias Verdess".

Z niemieckiego tłomaczył
Mieczysław Owczarek

Zaniedbana fauna miast

Stworzenie to żyje w miastach, najchętniej gromadnie, pod gołem niebem. Chodzi obdarte, w starych spodniach, podobno, ojca. Kurtkę podarował mu przechodzień, może krewny. Przeklina pomysłowo, marnotrawi czas, myszkuje po śmietnikach. Wierci się i wietrzy, jak kot, gdzieby upolować pożywienie. Kradnie, gdzie i co się da. Pali i pije od dzieciństwa. Zna wszystkie męty swej dzielnicy. Jest poszukiwanym „boyem" nocnych lokali. Chętnie wysługuje się prostytutkom. Pobiera zapłatę w groszach lub w naturze. W nocy często udziela cennych informacyj zapóźnionym bywalcom knajp. W dzień jest ich utrapieniem. Zwą je łajdakiem, łobuzem i włóczęgą. Ale ono kpi sobie z opinji statecznych obywateli. Robi to — co mu sprawia przyjemność. Nie umie troszczyć się, że go czeka przyszłość dorosłego. Pomimo potępienia zewsząd i nędzy — wesoły jest i pełen dowcipu.

Latem budzi go ze snu miotła dozorcy lub strumień wody polewacza ulic. Nie przeklina i nie czuje się źle. Zapomniał dawno, że noc można spędzić w łóżku i że budzić go mogłaby matka. Przeciąga się, ziewa, rzuca „dzieńdobry" i pędzi myszkować po ulicach. Może znajdzie zgubę czyjąś, może zarobi...

Zimą wyszpera wygodne legowisko. Przywiązuje się doń i wraca co noc po to, by któregoś ranka wytrzęsła go z barłogu ręka stróża porządku publicznego. Pokorny jest wtedy i nie szamoce się. Wie, że z policjantem trzeba żyć w zgodzie, jak długo przebywa w zasięgu długości jego ramienia. On to nadał granatowym mundurom oficjalny tytuł *„Panie władzo"*, zastępując go w życiu gromady cynicznem określeniem *„Glina"*. Życie tego stworzenia obfituje w wypadki „czepiania się" go policjantów. Stąd złośliwe porównanie z tym pospolitym lepkim minerałem. Surowy zakaz używania tego epitetu wywołał przezwisko *„Adam"*, jako tworu z gliny — nic nie ujmując złośliwości określeniu. Unika styczności z *„Adamem"*. Nie ucieka się nigdy pod opiekę władzy. Nie chce, prawdopodobnie nie rozumie konieczności przestrzegania przepisów dla pieszych. Obchodzi *„Faraona"* na skrzyżowaniu ulic zdaleka.

Najgroźniejszym wrogiem dla niego są nieprzespane noce. Traci spryt, spostrzegawczość i staje się bezradnym. W wypadkach takich wślizguje się do ogrzewanej klatki schodowej. Zasypia obok kaloryferu na najwyższem piętrze. Powracający lokator oddaje włóczęgę w ręce dozorcy. Parę nieszkodliwych szturchańców, kopnięcie niżej krzyża — są niczem w porównaniu z możliwością godzinnej drzemki i powrotu do równowagi.



MOŻE ZNAJDZIE COŚ?...
Fot. Tad. Pociej

Za dobrych czasów mógł sprzedawać gazety. Zarabiał uczciwie na chleb, czasami nawet na obrzynki. Ba! legalnie bywał w cyrku, kinie. Obecnie gazeciarstwem wolno trudnić się tylko osobie uprzywilejowanej... Trzeba być zameldowanym! Przeszkody stara się usunąć. Nie wie, gdzie i kiedy urodził się. Kategorycznie oświadcza, że ojca nie miał nigdy. Pamięta tylko, że matkę zwano *„Stara"*. Numeru legowiska nie zna, podobno władze nie prowadzą ewidencji.

Niejeden, zrozpaczony, podarł kartkę meldunkową i wrócił do starych rzemiosł. Sprowadza dorożki, otwiera drzwiczki taksówek, sprzedaje kradzione z cmentarzy i ogrodów kwiaty, rozdaje ulotki, wynajmuje się żebrakom za dziecko konające z głodu, siedzi godzinami na zimnym asfalcie, wysuwając zsiniałe, trzęsące się członki. Czasami śpiewa sam po podwórkach, nosi grajkom futerały instrumentów muzycznych, robi niemego karła w Luna Parku i t. p. Wrodzone i nabyte talenty spienięża, jak każdy inny obywatel.



ZAPOMNIAŁ DAWNO, ŻE NOC MOŻNA SPĘDZIĆ W ŁÓŻKU...

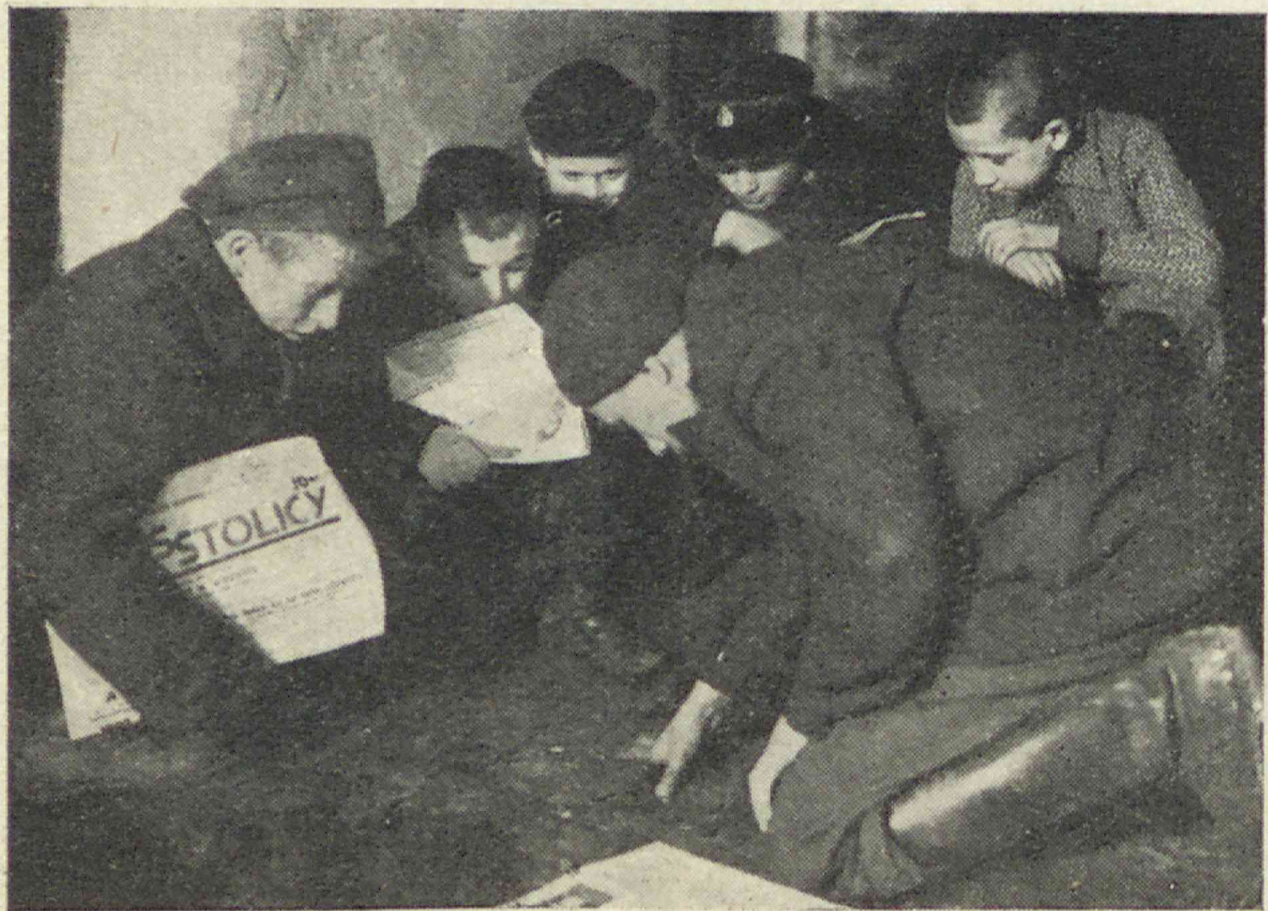
Kiedyś, siedząc w rynsztoku, trafiony został piłką. Złapał ją i uciekł. Dopadł go dostatnio ubrany pan. Przyglądał mu się długo. Nie bił i nie odebrał piłki. Winowajca okazał się bardzo podobny do synka, który idąc z ojcem rzucił piłkę... Pan zajął się chłopcem, umieścił go w ochronce. Niestety, pierwszy posiłek w zakładzie tak go ośmieszył, że nazajutrz zbiegł i więcej nie powrócił. Nie przyzwyczajony do trawienia pokarmów gotowanych, dostał przy stole torsji. Od tego czasu, ile razy stawiano przed nim, jako jałmużnę, zupę — nie jadł. Raz poprosił wzamian o chleb — wypędzono go za drzwi, bo grymasi. Zemścił się za doznaną krzywdę i posmarował klamkę nieczystością...

Zadowolony ucieka na ulicę, wpada na zabłoconą jezdnię i obryzguje cię, Czytelniku, błotem. Przeklinasz, grozisz mu i chcesz ukarać hultaja.

Nie przeklinaj! Nie groź!

Znasz sprawcę... To *dziecko ulicy*. Nieraz widzisz i nie zatroszczysz się, że wychowuje je ulica i tysiące takichże obojętnych przechodniów tej ulicy — jak i Ty.

Inż. Jan Freyman,
Vice-Prezes Tow. Przyjaciół
Dzieci Ulicy.



MONTE CARLO POD LATARNIĄ NA KOZIEJ

W KINACH WARSZAWSKICH

Czy filmy niemieckie są w Polsce zabronione, czy dozwolone? Pytanie to nasuwa się siłą rzeczy i to pomimo wyraźnie brzmiących przepisów. Bo inna rzecz okólnik, zakaz, przepis, — a co innego życie.

Kino „Europa" gra świetny obraz „Hallo, Paryż, — hallo, Berlin". Mówi się, że to film francuski, ale właściwie djalogi francuskie są tu wkładkami do mówionego filmu niemieckiego.

Trudno byłoby zresztą zamienić te niemieckie djalogi na jakieś angielskie, czy włoskie, bo zginąłby wówczas czysto słowny, werbalny dowcip filmu (Gdy Niemiec np. mówi: „Bitte wasser", — Francuz odpowiada: „Ma soeur", albo gdy słowa „zum waschen" bierze hotelarz za francuskie „la vache" i t. d.).

Zasadniczo „Hallo, Paryż" jest jednym z najmilszych i najzabawniejszych dźwiękowców. Fabuła nie jest specjalnie atrakcyjna. Zwykła „historja dwojga serc" z tą nowoczesną modyfikacją, że ona jest telefonistką w Berlinie, a on — telefonistą w Paryżu. Ale nie trzeba wielkich rzeczy dla stworzenia doskonałego filmu. Dowiódł tego jeszcze raz reżyser Juljan Duvivier, dając pomysłową inscenizację.

Niektóre sceny, jak np. uroczystość z okazji przyjazdu prezydenta... Transoceanji, ujęta z niezwykłem poczuciem humoru i mocno sarkastycznie, albo wycieczka po Paryżu, będąca satyrą na zawodowych „cicerone".

*

Amerykanie uważają, że naiwność w scenarjuszu nie jest wadą. Grunt, żeby akcja była frapująca, trzymała widza w niesłabnącem napięciu. Pod tym kątem widzenia należy rozpatrywać film „Generał Czeng" (kino „Atlantic"). Ukazuje on we właściwem świetle rolę rozmaitych „bohaterów" i „zbawców" z Europy, spekulujących na „wojennym bałaganie", który rozszalał się na Dalekim Wschodzie.

„Generał Czeng", de facto Jim Kenyon, jest awanturnikiem i bussinesmanem amerykańskim, który sprzedaje swoje talenty militarne kolejno bandzie generała Hanga, a potem Chińskiej Armji Narodowej, oczywiście za wyższą cenę.

Czeng ginie, a na pobojowisku pozostaje szczęśliwa para: ex-kochanka „generała" i jej obecny mąż, reporter „Kurjera Chińskiego".

Aktorzy (Jack Holt i Ralf Graves) zagrali swe role zdumiewająco świetnie.

J. Fr.



FREDERICK MARCH, JAKO MARCUS SUPERBUS, PREFEKT RZYMU W MONUMENTALNYM FILMIE CECIL B. DE MILLE'A „W CIENIU KRZYŻA", WYTWÓRNIA „PARAMOUNT"

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

TEATR NARODOWY

Sztuka w 3-ch aktach
Jerzego Szaniawskiego
„MOST"
Lindorfówna, Brydziński, Dominiak, Junosza-Stępowski, Węgrzyn, Żeliska

TEATR NOWY

Głośna sztuka
D. Niccodemiego
„CIEŃ"
Marja Malicka, Z. Marcinowska, R. Boelke, W. Gawlikowski, J. Ciecierski, W. Micińska, G. Oranowska

TEATR LETNI

„UŚMIECH HRABINY"
nowa komedja Stefana Krzywoszewskiego
Dulęba, Gorczyńska, Lubieńska, Nakoneczna, Loda Halama, Fertner, Stanisławski, Kurnakowicz, Wesołowski, Janusz, Grabowski, Hnydziński, Roland etc.

Z dziedziny kosmetyki

Pani Michalinie: Gładkie, białe ręce, będzie pani miała stosując *Krem Prałatów*. Po wymyciu rąk, jeszcze w wilgotne wetrzeć cokolwiek *Kremu Prałatów*, który choć cokolwiek tłusty, wciera się jednak do sucha.

P. M. S.: Zawsze białe zęby, pomimo palenia papierosów, będzie pani miała używając raz lub dwa razy dziennie (najlepiej rano i wieczorem) do mycia zębów olśniewającego proszku *Albol*. *Albol* nie tylko nadaje zębom olśniewającą białość, ale usuwając tak zwany „kamień" oczyszcza zęby, i tym samem doskonale je konserwuje, zapobiegając psuciu się, i próchnieniu zębów.

P. Adeli: Lepszego środka do rąk, jak *Krem Prałatów* nie ma. Nawet przy kuchennem zajęciu, ręce będą gładkie, miękkie i białe, o ile na noc, lub przed wyjściem na powietrze, będzie pani wcierać cokolwiek *Kremu Prałatów*. Krem ten wciera się do sucha, tak że można go używać i podczas dnia.

Kotce: Zbyteczne włosy usunie pani *Epil-Maxem*. Jest to najlepszy ze wszystkich depilatoirów, usuwa włosy w ciągu 3 — 4 minut, nie drażni skóry i nie wywołuje zaczerwienienia i pryszczy.

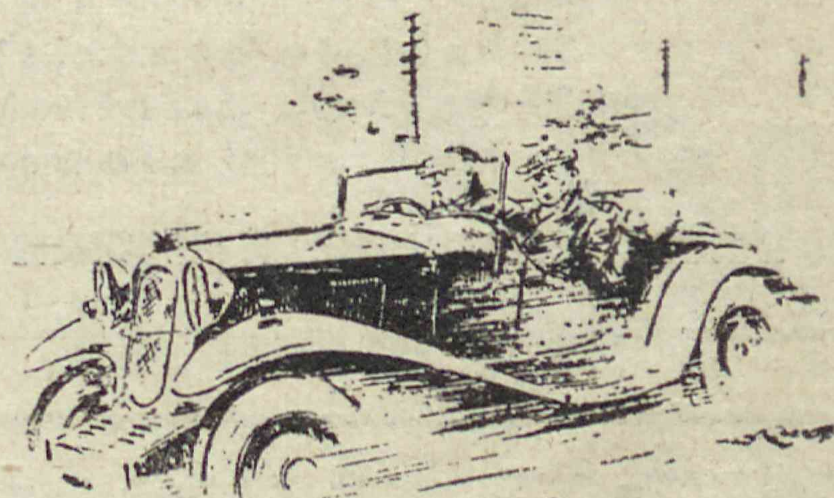
Zmartwionej: Czystą, gładką cerę odzyska pani stosując na noc nacieranie twarzy *Kremem Abarid*. Rano zmyć twarz *Otrąbkami Abaridowemi* i ciepłą wodą, a następnie wśród dnia raz lub dwa natrzeć twarz *Wschodnim płynem Mimosa*. Nie używać tłustych pudrów, które zatykają pory twarzy, a tylko suchy *puder Abarid*, który nie zawiera żadnych szkodliwych substancji, tylko środki roślinne, między innymi sproszkowane cebulki lilji białej.

M-m Ercedès

Nowa fala grypy grozi krajowi

Któż nie zna tej podstępnej choroby? Któż nie postanawiał sobie po ostatnio przebytej grypie, że na przyszłość będzie ostrożniejszym? Zastosujcie się do tego postanowienia. Wiadomo, że drobne, niewidoczne dla oka kropelki, które chory rozsiewa mówiąc, kaszląc lub kichając, przenoszą zarazki na ludzi zdrowych, wnikając przez usta, nos i gardło do ustroju. W tem miejscu więc należy rozpocząć akcję obronną. Doskonale do tego celu nadają się zalecane przez lekarzy pastylki Panflavin, które posiadają intensywną siłę odkażającą i które niszczą znajdujące się już w ustach i jamie gardzielowej bakterje, zanim zdołają wywołać chorobę. 1—2 pastylek co godzinę rozpuszczanych powoli w ustach chroni przed grypą.





(Złodzieje automobilów między sobą) — Torpedo jest fatalne podczas niepogody. Czy nie należałoby go zamienić na jakąś limuzynę?

KĄCIK KOBIECY

KŁOPOTY PREZYDENTA ROOSEVELTA

Pani Roosevelt pisze — jest znaną dziennikarką. Pani Roosevelt dużo zarabia, bo może sprzedawać swoją „firmę". Wymieniają sumę (według „Daily Expressu") 3.000 dolarów, osiągniętą za reklamę, podpisaną jej nazwiskiem. Dość drażliwa sytuacja dla męża. Prezydent Ameryki dał dowód skrupulatności swojego sumienia i zażądał kategorycznie od żony zerwania wszelkich kontraktów dziennikarskich, odejmując jej w ten sposób możność zarobkowania.

Oto jeszcze jedna kolizja interesów kobiety i mężczyzny.

ZBYT DROGIE KOBIETY

Prawa ekonomiki sięgają wszędzie. Nie oprze im się nawet miłość. Wśród muzułmanów w Palestynie istnieje zwyczaj kupowania żon, mniej więcej po 50 f. ster. sztuka. Ceny te ulegały małym wahaniom, ale ostatecznie średnio zamożny młody człowiek mógł być pewien szczęścia małżeńskiego. Aliści chciwi ojcowie podnieśli w ostatnich miesiącach trzykrotnie cenę na swe córki. Tak wysokie sumy nie były dotychczas notowane na giełdzie miłości muzułmańskiej. Wobec czego narzeczeni palestyńscy zrzeszyli się w syndykat i urządzają wyprawy po narzeczone na Cypr.

Wyspa Afrodyty zawsze sprzyjała miłości.

SUKNIE GWIAZD EKRANU

Co się dzieje z cudownemi i kosztownemi toaletami bohaterek ekranu? Noszone tak krótko, nieraz godzinę, gdzie się podziewają? Kto je donasza? Okazuje się, że cenna suknia gwiazdy ma długą drogę przed sobą. Jeśli jest noszona krótko i nie spłowiała w świetle silnych lamp, dostaje ją mniejsza aktorka w innym filmie, w drugorzędnej roli. W ten sposób, jak w bajce Andersena, suknia wędruje z królewny przez damy dworu, aż do kopciuszka i kończy swój żywot albo w składach garderoby, gdzie ją użyją na przybranie nowego bogatego kostjumu stylowego, jeśli była z kosztownej materji, albo idzie do instytucji dobroczynnych, gdzie znów potną ją na poduszki, makatki, czy inne drobiazgi, które można spieniężyć.

Długa droga i coraz smutniejsza, prawie jak żywot ludzki.

Z Zakopanego



ŚWIETNA NARCIARKA I MISTRZYNI W JEŹDZIE SZYBKIEJ NA MOTOCYKLU JANINA LOTECZKOWA I BRONISŁAW CZECH TRENUJĄ W ZAKOPANEM



Czuły mąż.

— Moja droga, stań w oknie, póki pociąg nie ruszy. W ten sposób z pewnością zostaniemy sami.



— Co trzeba robić, żeby mieć piękne ręce?

— Trzeba nic nie robić.

Przypominamy, że 28 lutego r. b. upływa termin Wielkiego Konkursu „Świata" p. n.

RACJONALNIE ROZPLANOWANY DZIEŃ KOBIETY

Do konkursu może stanąć każda z pań, która zechce się nad własnym dniem zastanowić i relację swego przeciętnego dnia na piśmie do Redakcji „Świata" przesłać.

Z góry przewidujemy trzy typy odpowiedzi:

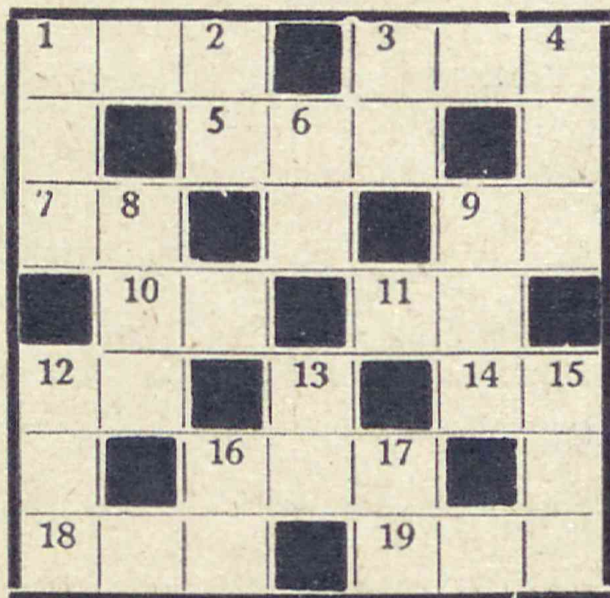
1) **kobiety bezdzietnej, pracującej zarobkowo;**
2) **kobiety dzietnej, pracującej zarobkowo;**
3) **kobiety niepracującej zarobkowo.**

Warunki szczegółowe i wyznaczone nagrody ogłosiliśmy w Nr. 3 w dn. 21/I r.b.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 92 (195) Krzyżówka sylabowa

(Za rozwiązanie 3 punkty).



Poziome. 1. Imię żeńskie. 3. Port na północy. 5. Roślina strączkowa. 7. Przyjaciel Mickiewicza. 9. Gatunek piwa. 10. Budynki mieszkalne. 11. Punkt operacyjny. 12. Otwarta przestrzeń. 13. Nuta. 14. Rośliny pnące. 16. Przyrząd do patrzenia na odległość. 18. Znaki. 19. Rodzaj pieszczoty.

Pionowe: 1. Rzeka w Afryce (wspak). 2. Skała podwodna. 4. Inaczej lennicy. 6. Drapieżnik nocny. 8. Prowincja Polski. 9. Kwiat. 12. Rodzaj roślin. 13. Imię artysty filmowego. 15. Leniwi i psotni chłopcy. 16. Miesiąc. 17. Sprzęt stołowy.

№ 93 (196) Urywki powieściowe

(Za rozwiązanie 5 punktów).

1) Kiedy Jerzy wszedł do salonu, jak promień słońca powitał go jasny *pierwszy* Helenki, która zwróciła się z radosnym okrzykiem.

2) Na balu „Noc szaleństwa" powszechną uwagę zwracała toaleta *drugiej* ze srebrnej lamy, przybrana seledynowemi koronkami.

3) Wiosna w tym roku była wyjątkowo wczesna i *trzecia*, pozwalając prędko zapomnieć o dokuczliwej zimie.

4) Ze wszystkich powieści podobała mu się najlepiej *czwarta* ludzka, którą czytywał ustawicznie.

5) Umówił się z przyjacielem, że spotkają się w *piątym*, a potem pójdą na kolację.

6) W zimie zwykle wyjeżdżał zagranicę na wypoczynek, gdyż w sezonie *szóstym* najwięcej było pracy w fabryce.

7) Gdzie *siódme* prawda? — Na to pytanie nie mógł znaleźć odpowiedzi.

8) Rudzińska słysząc słowa syna, zawałała: Z was wszystkich Irenka jest *ósmem* dzieckiem. Ona nie zrobiłaby mi takiej przykrości.

9) Twój wyjazd jest jedynem *dziewiątem* na zapomnienie o tej całej przykrej historji.

10) Musisz koniecznie złożyć mu wizytę, *dziesiąte* nie myślał że unikasz go świadomie.

11) Starał się nie zmieniać trybu życia. Pracował bez wytchnienia, lecz nie mógł *jedenaste* Wandy.

12) Kazał się obudzić *dwunaste* piątej rano bez względu na pogodę.

13) Odczyt profesora Dorskiego o *trzynastym*, wywołał gwałtowne ataki w prasie.

14) W ustawicznych zgryzotach *czternastych* zatracał energję i chęć do życia.

Liczebniki należy zastąpić odpowiednimi wyrazami, które dadzą rozwiązanie.

Rozwiązanie zadań

№ 82 (185) UKŁADANKA LITEROWA. Nowy Rok rozpoczynamy pod znakiem nadziei.

№ 83 (186) WIRÓWKA. Lektura. Rachuba. Bazary. Rywale.

№ 84 (187) ELIMINATKA. Ciągły. Edfa. Fosy. Kub. Bona. Lenie. Się. Juby. Fest. Prawy. Emu. Świat. Ufa. Klucz: Buly. — Ciągłe doskonalenie się jest prawem świata.

TRAFNE ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

№ 82 (185). (Za rozwiązanie 3 punkty). Wacław Tyblewski, Zenon Brenek, Dorota Herbstmanówna. Fr. Wiśniewski. N. K. Kozłowski. Kazimierz Lilpop. Marja Adamska (Tomaszów Maz.). Jawna Kowalska. Z. Tietz. Marja Strubel. Roman Klimczak. Kaz. Wiśniewski. Jerzy Łopatto.

№ 83 (186). (Za rozwiązanie 2 punkty). Jerzy Łopatto. Janina Jentysowa. Kaz. Wiśniewski. Roman Klimczak. Mira Surinowa. Józefa Wolińska. Marja Strubel. Z. Tietz. Jawna Kowalska. Marja Adamska (Tomaszów Maz.). Kazimierz Lilpop. N. K. Kozłowski. Fr. Wiśniewski. Dorota Herbstmanówna. Zenon Brenek. Marja Bugajska (Kłobucko). Wacław Tyblewski (Poznań).

№ 84 (187). (Za rozwiązanie 5 punktów). Wacław Tyblewski (Poznań). Marja Bugajska. Kaz. Wiśniewski. Jawna Kowarska. Zenon Brenek. N. K. Kozłowski. Inż. Modrzejewski. Fr. Wiśniewski. Marja Strubel. Kazimierz Lilpop. Z. Tietz. Jerzy Łopatto.

NAGRODY OTRZYMALI:

Zenon Strubel — książkę.
Kazimierz Lilpop — książkę.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU

N. K. Kozłowski. Rozwiązania zadań należy nadsyłać w ciągu trzech tygodni. Nazwisko WPana wymieniane jest zawsze, o ile nadesłane przez Niego rozwiązania są trafne. Być może, że niektórych rozwiązań nie otrzymaliśmy. W ostatniem losowaniu przypadła nawet WPanu nagroda, po odbiór której prosimy się pofatygować.

BRYDŻ RODZINNY



— *Czy mogę o coś zapytać męża?*
— *Ależ naturalnie, kochanie.*
— *Przypomnij mi, co oznacza dwukrotne kopnięcie: że mam iść do pięciu, czy do szlemika?*

ZWIASTUNY POPRAWY GOSPODARCZEJ





— Niestety siedmiomiesięczne.
— Dlaczego niestety? Maleństwo nie mogło się doczekac, tak mu się spieszyło na ten nasz piękny świat.

— Przestali u nas kupowac? Dobry znak! Widac ludziska znowu mają pieniądze i kupują w porządnych sklepach. (Simplicissimus)

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.



P